Zeszyty Połanieckie

Czasopismo Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu PL ISSN 1643-370X

Połaniec 2010

Nr 18

Stare koryto rzeki Czarnej
fot. Dawid Glica

KARABELA
OCHRONA OSÓB I MIENIA

AQAP 2120:2006
PN-EN ISO 9001:2001

AC
QMS
EMS

Przedsiębiorstwo Wielobranżowe KARABELA Sp. z o.o. powstało w 1993 roku i obecnie jest największą firmą specjalizującą się w kompleksowej ochronie osób i mienia, działającą na terenie południowo wschodniej Polski.

Oferujemy Państwu następujące usługi:
- *ochronę fizyczną osób i mienia,*
- *monitoring,*
- *zabezpieczenie techniczne,*
- *systemy alarmowe,*
- *konwojowanie wartości pieniężnych,*
- *kompleksowe utrzymanie czystości.*

Posiadamy:
- *32 przedstawicielstwa oraz biura terenowe,*
- *12 grup patrolowo interwencyjnych (które działają na terenie województwa: podkarpackiego, świętokrzyskiego oraz małpolskiego).*
- *3 stacje monitorowania sygnałów alarmowych (dzięki którym możemy przyjmować sygnały alarmowe z lokalnych systemów zabezpieczenia technicznego z obiektów na terenie całego kraju),*
- *2 200 osób zatrudnionych (do zadań związanych z ochroną osób i mienia skierowanych jest ok. 1 700 osób, w tym ponad 800 posiadających licencję pracownika ochrony fizycznej I lub II stopnia).*

Posiadamy Certyfikat Systemu Zarządzania Jakością ISO 9001:2000 oraz Certyfikat AQAP 2120:2006. Fakt ten gwartantuje Państwu najwyższą i stałą jakość świadczonych przez nas usług. Jesteśmy członkiem Polskiej Izby Ochrony Osób i Mienia.

Oferując swoje usługi, nasze przedsiębiorstwo proponuje sprawny i sprawdzony przez codzienną praktykę system organizacji i funkcjonowania procesu zabezpieczenia mienia. Mamy na względzie wysokie wymagania stawiane przez naszych Klientów i konieczność sprostania tym oczekiwaniom.

Przedsiębiorstwo Wielobranżowe "KARABELA" Sp. z o.o.

Centrala: ul. Sokola 14, 39 400 Tarnobrzeg, tel.: 015 822 28 22, fax: 015 822 88 79

Biuro Terenowe w Staszowie: ul. Armii Krajowej 10, tel./fax: 015 864 31 08

www.karabela.com.pl biuro@karabela.com.pl

Szanowni Czytelnicy!

Przed Wami kolejny, osiemnasty numer „Zeszytów Połanieckich". Jestem pewien, że każdy z Państwa znajdzie w nim coś, co choć na chwilę przykuje uwagę, skłoni do refleksji, a może przekona, że warto dołączyć do grona osób publikujących w naszym piśmie swe wspomnienia.

W tym numerze prezentujemy Państwu fotoreportaż z wizyty Zarządu Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu w Stalowej Woli. Okazją do spotkania się z naszymi przyjaciółmi z Podkarpacia był fakt odsłonięcia pomnika Naczelnika przed budynkiem Zespołu Szkół nr 2 w mieście hutników.

Jak sądzę, ciekawą propozycją będzie również wspomnieniowy artykuł Zdzisława Owczarka, Honorowego Obywatela Połańca, w którym opisuje on swe przeżycia związane z latami rozkwitu grodu Kościuszki.

Paulina Płachta, kontynuując temat podjęty przez Radosława Matusiewicza w 17 numerze „Zeszytów Połanieckich", stworzyła przewodnik dla początkujących genealogów, który z pewnością ułatwi poszukiwanie korzeni rodowych wszystkim interesującym się coraz modniejszą ostatnimi czasy pasją.

Mieszkańcy Połańca wiele interesujących informacji odnajdą w artykule Grażyny Wiącek, która opisuje życie „ludzi Wisły", wspominając działalność swojego ojca – który długie lata pracował jako przewoźnik w miejscowości Winnica.

Nasz stały współpracownik, Pan Józef Korczak, opisuje tym razem akcje partyzantów na kolonie niemieckie w naszym rejonie oraz przedstawia życie księży Grelewskich, którzy zostali zamordowani przez hitlerowców, zestawiając ich dzieje z tragicznymi losami braci Eugeniusza i Edmunda Jarzynów.

Prezes Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu, Radosław Matusiewicz, dzieli się z Państwem wynikami swej wirtualnej wędrówki przez bogate archiwa Biblioteki Radomskiej, opublikowane niedawno w internecie. Okazuje się, że wiele w nich informacji o Połańcu z końca XIX wieku – w tym o tragicznym dla miejscowej kultury pożarze.

Pani Anna Stefańska, zainspirowana tekstem Stanisława Dalmaty (ZP nr 17), stara się w swym artykule ocalić od zapomnienia kolejne rzemiosło – opisując połanieckich kołodziejów.

Tradycyjnie już ostatnie karty Zeszytów poświęcam na opowieści wędkarskie mojego autorstwa, tym razem niemal w całości poświęcone promowaniu zasady „złów i wypuść". Mam nadzieję, że spotkają się one z Państwa zainteresowaniem.

Czas czteroletniej kadencji Zarządu Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu powoli dobiega końca. Mając to na uwadze, pragniemy poznać opinie czytelników o naszej pracy. Jeśli pragną Państwo podzielić się swoimi refleksjami, prosimy o nadsyłanie listów do Redakcji – zarówno drogą tradycyjną (ul. Ruszczańska 23, 28-230 Połaniec), jak i pocztą elektroniczną (maped78@gmail.com). Będziemy wdzięczni za każdą opinię, również krytyczną, gdyż Państwa uwagi posłużą nam jako nauka na przyszłość. Sądzę, że korzyść z nich może odnieść również kolejny Zarząd, wybrany w lutym 2011 r.

W kolejnym numerze Zeszytów zamieszczone zostanie obszerne sprawozdanie z działalności Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu w latach 2007-2010, dlatego już dziś zachęcamy do ich lektury.

Kończąc, pragnę w imieniu Zarządu serdecznie podziękować Państwu za pieniądze przekazane na rzecz Towarzystwa w ramach 1% podatku. Wsparcie każdego z Was jest dla nas niezwykle istotne – pozwala realizować cele statutowe stowarzyszenia, a także daje poczucie, że nasza praca doceniana jest przez lokalną społeczność.

Życzę miłych chwil spędzonych
z Zeszytami w ręku
Marek Pedyński

Marek Pedyński

JAK WZNIEŚĆ POMNIK W PÓŁ ROKU, CZYLI O „CUDZIE" W STALOWEJ WOLI

Koniec marca 2010 roku przyniósł nam – Zarządowi TK w Połańcu – spore zaskoczenie. Otrzymaliśmy bowiem wtedy zaproszenie od naszych przyjaciół z Zespołu Szkół nr 2 im. Tadeusza Kościuszki w Stalowej Woli na uroczystość... odsłonięcia pomnika patrona tej placówki.

Nasze zdziwienie było ogromne, gdyż mimo stałego kontaktu z Panią Longiną Ordon, prezesującą Stowarzyszeniu Oświatowemu Przyjaciół Szkoły Kościuszkowskiej w Stalowej Woli, nigdy wcześniej nie słyszeliśmy o inicjatywie związanej z wyniesieniem patrona szkoły na cokoły.

Bez chwili wahania potwierdziliśmy nasz udział w uroczystości i z niecierpliwością czekaliśmy na dzień wyjazdu do Stalowej Woli. Na miejsce udaliśmy się 8 kwietnia 2010 r. w przeddzień odsłonięcia pomnika, korzystając z możliwości wzięcia udziału w konferencji naukowej poświęconej tradycji kościuszkowskiej w Polsce. Organizatorzy zadbali o godne miejsce dla uczestników zjazdu i ulokowali nas w pięknym Dworku Pod Lipami przy ul. Sienkiewicza w Tarnobrzegu.

Podczas konferencji głos zabierało wielu znamienitych gości, wśród nich profesorowie, doktorzy, przewodniczący stowarzyszeń kościuszkowskich – nie mogło więc zabraknąć również wystąpienia naszego prezesa – Radosława Matusiewicza.

Po konferencji przyszedł czas na rozmowy z dawno nie widzianymi przyjaciółmi z całej Polski, którzy podobnie jak my wygospodarowali czas, by móc uczestniczyć w tak ważnym dla stalowowolskiej społeczności wydarzeniu.

Następnego dnia z samego rana udaliśmy się na miejsce uroczystości, czyli do Stalowej Woli, w okolice Zespołu Szkół nr 2, gdzie mogliśmy obserwować ostatnie przygotowania gospodarzy.

Atmosfera była bardzo podniosła, a mszę świętą rozpoczynającą uroczystości odprawił biskup sandomierski Krzysztof Nitkiewicz, który w kazaniu powiedział m. in.: – Chrystus wzywa nas do wielkich czynów. Latami człowiek przygotowuje się do wielkości, dorasta do spełnienia rzeczy wielkich; Tadeusz Kościuszko przyjął wezwanie. Ten zwykły człowiek, żyjący zwykłym życiem, zrozumiał, że Bóg domaga się od niego heroicznych czynów".

W czasie mszy mieliśmy okazję wysłuchać pieśni religijnych i patriotycznych, mistrzowsko wykonywanych prze chóry młodzieżowe i wojskową orkiestrę.

Po zakończeniu mszy przyszła najważniejsza chwila – moment odsłonięcia pomnika, poprzedzony okolicznościowymi przemówieniami, wygłoszonymi m. in. przez: Longinę Ordon – Prezes Stowarzyszenia Oświatowego Przyjaciół Szkoły Kościuszkowskiej w Stalowej Woli, prof. dr hab. Mariana Marka Drozdowskiego – Prezesa Stowarzyszenia Budowy Pomnika Tadeusza Kościuszki w Warszawie, Leszka Marka Krześniaka – Prezes Polskiej Fundacji Kościuszkowskiej w Warszawie, Wiesława Siembidę - Starostę Powiatu Stalowowolskiego, oraz Włodzimierza Smutka – dyrektora ZS nr 2 im. Tadeusza Kościuszki w Stalowej Woli.

Pomnik odsłonił starosta Wiesław Siembida, w towarzystwie dyrektora szkoły Włodzimierza Smutka i jego zastępcy Longiny Ordon, poświęcił go zaś biskup Nitkiewicz.

Następnym punktem było przekazanie przez delegacje ziemi z miejsc życia i działalności wodza insurekcji kościuszkowskiej – z Maciejowic, Racławic, warszawskiej Pragi oraz – oczywiście – z Połańca.

Nie brakło również delegacji z wieńcami.

Uroczystość odsłonięcia pomnika zakończona została apelem poległych i paradną defiladą Podhalańczyków.

Na koniec pozostała do wyjaśnienia jeszcze jedna kwestia – jak to możliwe, żeby wystawić tak piękny pomnik, odlany z brązu, w kilka miesięcy. Odpowiedzi na to pytanie udzieliła nam pani Longina Ordon – osoba, która niewątpliwie w wielkim stopniu przyczyniła się do budowy pomnika w Stalowej Woli. Pomysł odsłonięcia pomnika zrodził się zimą 2009 r., gdy okazało się, że niejako przy okazji prac nad wykonaniem pomnika Naczelnika dla Warszawy (trwających już 10 lat), odlany został posąg o wysokości 2.70 m, będący artystyczną kopią monumentu znajdującego się w Waszyngtonie na skwerze La Fayette naprzeciwko Białego Domu. Prof. Marian Marek Drozdowski, historyk PAN, prezes Stowarzyszenia Budowy Pomnika Tadeusza Kościuszki w Warszawie oraz dr Leszek Marek Krześniak – prezes Polskiej Fundacji Kościuszkowskiej i wiceprezes SBP T K w Warszawie wspólnie z Longiną Ordon postanowili wykorzystać nadarzającą się okazję i zarazili pomysłem wzniesienia pomnika dyrektora Smutka oraz stalowowolskiego starostę Wiesława Siembidę. Dzięki temu w krótkim czasie powstał Komitet Budowy Pomnika Tadeusza Kościuszki w Stalowej Woli, który zdołał zachęcić prywatnych sponsorów (głównie Hutę Stalowa Wola) do wyłożenia niespełna 100 tys. zł na sfinansowanie całego przedsięwzięcia.

Pomnik wykonany został przez krakowskiego rzeźbiarza Wojciecha Sieka i zachwyca swym pięknem nie tylko starszych stalowowolan, ale i miejscową młodzież. Nie ukrywamy, że również i nam bardzo się spodobał.

Zdzisław Owczarek

MÓJ POŁANIEC

Od Redakcji

Połaniec to najstarsze (obok Sandomierza i Wiślicy) miasto naszego regionu. W swej długiej historii oprócz czasów rozkwitu, przeżywał liczne powodzie, pożary, zarazy i najazdy. Zawsze jednak dzięki pracowitości i uporowi jego mieszkańców potrafił odbudować i podnieść się. Najcięższym jednak ciosem dla naszego miasta były skutki powstania styczniowego, które na 111 lat wymazały Połaniec z mapy polskich miast. W 1869 roku Połaniec stracił prawa miejskie. Znalazł się w grupie 333 miast Królestwa, zdegradowanych przez władze carskie do rangi wsi. W opinii społecznej posunięcie to traktowano jako zemstę caratu za udział w powstaniu styczniowym. Tymczasem decyzja miała znaczenie szersze i głównie ekonomiczne podłoże. W opinii gubernatora radomskiego 63 miasta (w tym Połaniec) były miastami „tylko z nazwy", zdecydowaną większość ich mieszkańców stanowili rolnicy. Nie posiadały silnego zaplecza gospodarczego, nie wykazywały symptomów rozwoju.

Według ustalonych przez rząd carski kryteriów, miasto musiało liczyć przynajmniej 3 tys. mieszkańców, a Połaniec miał ich niespełna 2 tysiące. Ukaz carski z 1 czerwca 1869 roku zdegradował Połaniec do rangi siedziby gminy. W jej skład weszły wtedy: Brzozowa, Brzyzie, Czarne, Daszyn, Kamieniec, Kępa Glińska, Łęg, Kraśnik, Monki, Podskale, Przychody, Rychterówka, Ruszcza Dolna, Rybitwy, Winnica, Sieragi, Zdzieci, Zielonka, Zrębin i folwark połaniecki.

Ponad sto lat Połaniec czekał na to, by odzyskać należną mu rangę. Nastąpiło to w 1971 roku, kiedy to rząd podjął decyzję o budowie elektrowni. W 1972 roku rozpoczęto prace przygotowawcze, a w 1973 powołano dyrekcję elektrowni w budowie. Kronika Połańca z tego okresu pełna jest ważnych wydarzeń. Przypomnimy tyko niektóre:

1973 - uruchomienie Zasadniczej Szkoły Zawodowej, rozpoczęcie budowy osiedla mieszkaniowego, utworzenie gminy Połaniec w jej obecnych granicach.
1974 - oddanie do użytku nowej piekarni.
1975 - po reformie administracyjnej Połaniec znalazł się w województwie tarnobrzeskim.
1978 - w związku z budową elektrowni, zakończono prace przy zmianie koryta Wisły.
1979 - uruchomiono pierwszy blok energetyczny Elektrowni Połaniec.

W następstwie szybkiego rozwoju, w 1980 roku Połaniec odzyskał prawa miejskie. W 1983 roku zakończono budowę elektrowni i nadano jej imię Tadeusza Kościuszki. W 1984 roku odsłonięto pomnik Naczelnika w centrum Połańca. Kolejne lata przyniosły nowe inwestycje (filia ZPO „Modar", nowy obiekt Urzędu Miasta i Gminy, budynek Centrum Kultury i Sztuki, żłobek, druga szkoła, elektryfikacja linii kolejowej Połaniec - Włoszczowice itd.). We wrześniu 1989 roku obchodzono 725 rocznicę nadania praw miejskich Połańcowi. Wszystko to stało się podstawą tego, co dziś widzimy.

Poniżej przedstawiamy wspomnieniowy artykuł Pana Zdzisława Owczarka, osoby – nie tylko z racji pełnionego przed laty urzędu – bardzo mocno związanej z naszym miastem. Zapraszamy do lektury.

XXX ROCZNICA ODZYSKANIA PRAW MIEJSKICH

Podłoże odzyskania praw miejskich przez Połaniec. Wspomnienie z lat 1979/1980.

Rok 1979 był dziwny i taki jakiś niespokojny. Połaniec żył procesem morderców ze Zrębina, a szczególnie wizją lokalną tego morderstwa. To wydarzenie zdominowało nawet fakt, tak długo oczekiwanego oddania do rozruchu pierwszego bloku elektrowni.

Nadchodziły pierwsze zwiastuny tego, co się miało wydarzyć za dziesięć lat. Na budowie elektrowni opóźnienia sięgały już prawie dwu lat. Głęboki kryzys, wynikający z przeinwestowania polskiej gospodarki, powodował, że brak materiałów budowlanych i odpowiedniej ilości wykwalifikowanych pracowników, oraz brak mocy przerobowych zakładów produkujących urządzenia energetyczne coraz bardziej oddalał zakładane harmonogramy oddawania poszczególnych bloków energetycznych.

Fundament komina elektrowni (1975 r.)

Dodatkowo to budowa Huty Katowice była oczkiem w głowie ówczesnego I Sekretarza PZPR – Edwarda Gierka, a co za tym idzie i premiera Piotra Jaroszewicza. W tej sytuacji nie było mowy o realizacji planów inwestycyjnych związanych z infrastrukturą Połańca. Połańca, który nie był już wsią, ale do miasta dużo mu jeszcze brakowało.

Ze względu na konieczność zapewnienia kadrze elektrowni mieszkań, budowano tylko osiedle mieszkaniowe, ale bez podstawowej infrastruktury i kształtujących wygląd i funkcjonal-

ność osiedla prac ziemnych. W tej sytuacji długoletnia walka Połańczan o przywrócenie praw miejskich i budowę tzw. inwestycji towarzyszących w Połańcu, a nie w Staszowie, była ciężka.

Jedynym, który tak naprawdę wierzył w realizację tych planów, był chyba tylko pan mgr Mieczysław Tarnowski, który niezłomnie głosił konieczność sprawiedliwości historycznej:

„U nas był Kościu szko, to i tutaj, na naszych gruntach musi być wszystko budowane, co jest potrzebne ludziom na miarę XX wieku", pisał do różnych urzędów. Niezależnie od niego, na niwie samorządowej i partyjnej podejmował te same działania pan dr Janusz Gil.

Wreszcie przy cichej aprobacie władz partyjnych gminy, w miesiącu marcu 1979 roku, zaczęto zbierać podpisy mieszkańców Połańca pod petycją, skierowaną do władz centralnych. Petycja postulowała lokalizację inwestycji towarzyszących, związanych z budową drugiego etapu elektrowni w Połańcu, a nie w Staszowie oraz przyspieszenie decyzji o przywróceniu praw miejskich Połańcowi.

Po trzydziestu latach dziwnym mi się dziś wydaje, że pod petycją podpisało się tylko nieco więcej niż 200 mieszkańców Połańca. Muszę tutaj napisać, że Urząd Gminy był w tym czasie w „rozsypce" i praktycznie w tym najważniejszym dla przyszłego miasta przedsięwzięciu udziału raczej nie brał. Na podtrzymanie swojej tezy podaję, że to ja, w tym czasie pracownik Wydziału Rozwoju Elektrowni „Połaniec", byłem głównym organizatorem uroczystości nadania Połańcowi praw miejskich.

Władze wojewódzkie w Tarnobrzegu, opanowane w dużej części przez pracowników –mieszkańców Staszowa, nie zajmowały długo wiążącego stanowiska. Wreszcie w czerwcu 1979 roku Wojewoda Tarnobrzeski, mgr Wiesław Bobek podjął decyzję koordynacyjno-lokalizacyjną, dotyczącą między innymi inwestycji towarzyszących, związanych z budową drugiego etapu elektrowni. Na mocy tej decyzji: dla Połańca przypadło 1 miliard 253 miliony złotych – w tym budowa ponad 2300 mieszkań, dla Staszowa przypadło około 432 milionów złotych – w tym budowa 500 mieszkań i dla Tarnobrzega przypadło około 87 milionów złotych – w tym budowa 300 mieszkań.

Jak się później okazało, były to decyzje „papierowe", ponieważ do realizacji budowy 2 etapu elektrowni nigdy nie doszło.

Komin w budowie

Pragnę w tym miejscu odnotować tylko fakt, że zdanie mieszkańców Połańca ówczesne władze jednak wzięły pod uwagę. Chwała za to tym, którzy petycję podpisali, a szczególnie tym, którzy byli jej inicjatorami. Władze centralne, wreszcie w dniu 16 listopada 1979 roku, na mocy Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów utworzyły miasto Połaniec w województwie tarnobrzeskim.

I tak społeczno-gospodarczy rozwój miejscowości, związany z budową Elektrowni im. Tadeusza Kościuszki sprawił, że z dniem 1 stycznia 1980 roku, po 111 latach, Połaniec wrócił do grona miast polskich.

Sama uroczystość odbyła się na Placu Uniwersału Połanieckiego, w wyjątkowo mroźny poranek, 28 stycznia 1980 roku. Było dużo gości i to zajmujących wysokie stanowiska partyjno-rządowe i wojewódzkie. Nie będę ich tutaj wymieniał, zrobił to /nie podpisany zresztą/ ówczesny pracownik UMiG w Kronice Gminy Połaniec. Po trzydziestu latach pamiętam z tej uroczystości tylko dwa fakty:

Tablica pamiątkowa została wykonana w warsztatach „Siarkopolu" w Nagnajowie oraz to, że był mróz tak siarczysty jak w tym roku w styczniu. I na koniec jedna refleksja osobista:

Z dniem 15 lutego 1982 roku zostałem powołany na stanowisko Naczelnika Miasta i Gminy w Połańcu i wiem najlepiej, ile trudu kosztowało, aby Połaniec naprawdę stał się miastem.

NAJNOWSZA HISTORIA POŁAŃCA

W sumie byłem „połańczaninem" od 1 czerwca 1973 roku do 31 maja 1995 roku. Te dwadzieścia dwa lata upoważniają mnie do dania świadectwa prawdzie historycznej, z okresu chyba najlepszego w dziejach Połańca. Z racji wykonywanych obowiązków byłem niejako po „obu stronach barykady", dziewięć lat w elektrowni, od jej początków budowy i dziewięć lat w urzędzie połanieckim.

Pamięć jest ulotna, może stać się to przyczyną niezamierzonych „przeinaczeń" drobnych faktów, za które z góry przepraszam. Ze względu na fakt zamieszkiwania w Łodzi nie mam możliwości skonfrontowania niektórych wydarzeń z dokumentami źródłowymi, znajdującymi się w Połańcu. Pisząc moje wspomnienia bazuję głównie na „Kronice Gminy Połaniec" /1934––1995/, oraz swoich zapiskach z tamtych lat.

Przyjechałem na budowę elektrowni, aby podjąć pewnego rodzaju wyzwanie: sprawdzić się w ekstremalnych warunkach pracy, coś wybudować, zostawić po sobie coś trwałego dla dobra innych. Czy to się udało? Nie mnie to oceniać.

Na budowę elektrowni zjechało ponad trzy tysiące ludzi z całej Polski. Rdzenni mieszkańcy Połańca w zdecydowanej większości zaczęli powoli przekonywać się do tych, którzy przyjechali z całego kraju. Powoli zaczęło się „wtapianie w krajobraz połaniecki".

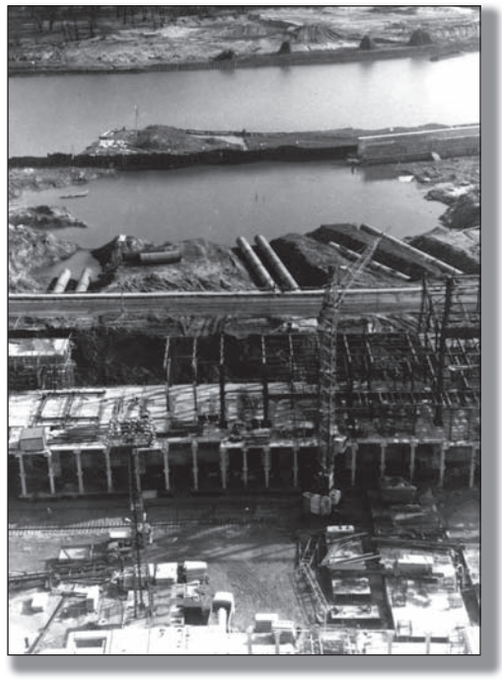

Pompownia i nowe koryto Wisły

Rosła elektrownia, przybywało ludzi, rosło miasto. Rozpoczęto budowę osiedla i infrastruktury. Dzięki staraniom miejscowych działaczy, a w szczególności Kazimierza Warchałowskiego i Mieczysława Tarnowskiego, zapadła decyzja o budowie „nowego" Połańca na miejscu, a nie w Staszowie.

Każdy pracujący na budowie elektrowni w Połańcu wiedział że:

- Połaniec jest związany przez Uniwersał Połaniecki z Tadeuszem Kościuszką;
- Połaniec powinien odzyskać prawa miejskie i właśnie tutaj ma powstać nowe miasto;
- w Połańcu musi stanąć pomnik Tadeusza Kościuszki;
- brzegi rzeki Czarnej powinien spiąć nowy most, a i do Mielca tylko 17 km po wybudowaniu mostu na Wiśle.

To były największe w owym czasie wyzwania do realizacji. Wiele z nich już się spełniło, inne spełnią się na pewno. To tylko kwestia czasu.

Pierwsza faza komina

Na podstawie Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 16 listopada 1979 roku w sprawie utworzenia miasta Połaniec w woj. tarnobrzeskim (Dz. U. nr 27 poz.161) spełnił się jeden z najważniejszych postulatów mieszkańców połanieckiego grodu. Uroczystości nadania praw miejskich odbyły się w dniu 28 stycznia 1980 roku. Na tą okoliczność na Placu Uniwersału Połanieckiego wmurowano tablicę pamiątkową o treści:

„Społeczno-gospodarczy rozwój miejscowości Połaniec związany z budową znaczącego dla polskiej gospodarki socjalistycznego zakładu –

– Elektrowni im. Tadeusza Kościuszki – sprawił, że z dniem 1 stycznia 1980 roku po 111 latach

Szkoła przy ulicy Ruszczańskiej

otrzymała ona ponownie Rozporządzeniem Prezesa Rady Ministrów prawa miejskie".

Przewodniczącym Rady Narodowej Miasta i Gminy został wybrany ob. Andrzej Jurecki. Był to niewątpliwie przełomowy moment w historii „nowego Połańca". Nie wszyscy mieszkańcy byli z pomnika zadowoleni. Myślę, że przy kolejnej, okrągłej rocznicy Uniwersału Połanieckiego stanie pomnik Tadeusza Kościuszki na Placu Uniwersału Połanieckiego i że będzie to Naczelnik koniecznie na koniu.

Należy jednak pamiętać, że Tadeusz Kościuszko w Połańcu wsławił się nie orężem, ale wydaniem doniosłego aktu prawnego, zwanego Uniwersałem połanieckim.

Nadrabiając 111-letnie zaniedbania w Połańcu w latach 1972 - 1990 wybudowano m.in.:

Lp.	Nazwa inwestycji	Data oddania
1.	Wodociąg wiejski (Elwod Rzeszów)	12.11.1972
2	Rozpoczęcie prac przygotowawczych budowy elektrowni (Energoprzem Kraków)	17.11.1972
3.	Rozpoczęcie budowy osiedla mieszkaniowego w Połańcu (Buskie Przedsiębiorstwo Budowlane)	10.10.1973
4.	Piekarnia Mechaniczna G,S. w Połańcu	30.10.1974
5.	Pawilon handlowy WSS Tarnobrzeg	1.7.1977
6.	Pierwszy komin elektrowni o wys. 250 m.	28.10.1977
7.	Synchronizacja 1 turbozespołu z krajowa siecią energetyczną.	21.11.1979
8.	Przedszkole przy Zb.Szkole Gminnej (Enegoprzem)	1.8.1980
9	Modernizacja Ośrodka Zdrowia (Enegoprzem)	18.12.1980
10.	Szkoła Podstawowa / Gminna /	1.9.1981
11.	Zlewnia Mleka OSM Staszów (Sp. Budowlana Staszów)	10.2.1983
12	Przedszkole Miejskie nr 3/Adaptacja/ (Energoprzem)	1.8.1983
13.	Rurociąg ciepłowniczy dla miasta.	7.10.1983
14	Zakończenie budowy elektrowni	8.11.1983
15.	Pawilon Usługowy WPHW	1985
16	Hotel Robotniczy B-600	1985
17.	Żłobek	1985
18	5 sklepów w bloku przy ul. Kołłątaja	1985
19	Przychodnia Zdrowia przy Elektrowni.	1986
20	Centrala Telefoniczna z Pocztą	1986
21	Dworzec PKS	1986
22.	Urząd Miasta i Gminy (Energoprzem)	1987
23.	Urząd Stanu Cywilnego	29.8.1987

24	Stacja Obsługi Samochodów	1987
25.	Uzbrojenie techniczne „Osiedla Północ'.	1987
26	Pawilon Gastronomiczny na osiedlu.	1987
27	Gminne Wysypisko Śmieci w Luszycy.	1987
28	15 mieszkań w budownictwie spółdzielczym.	1987
29	Wodociągi w Tursku Małym, Tursku Kolonii, Zrębinie i Brzozowej.	1987
30	Centrum Kultury i Sztuki	9.9.1988
31.	Most - Kładka na rzece Czarnej.	1988
32.	Zbrojenie terenów pod osiedle „Południe".	1988
33.	Elektryfikacja linii kolejowej Włoszczowa - Połaniec.	30.11.1988
34	Kościół p.w. Stanisława Kostki w Ruszczy.	1988
35.	Montaż anteny satelitarnej w C.K. i Sztuki.	12.12.1989.
36.	Automatyczne połączenia telefoniczne z sołectwami.	1990
37.	Sklepy różnych branż - 88 szt.	1982-1990
38.	Drogi gminne i transportu rolniczego./ moder.+remonty / 38km	1982-1990
39.	Domy Wiejskie w Zrębinie, Rybitwach, Okrągłej i Tursku M.	1985-1992

W tym okresie przygotowano również cały szereg inwestycji, które zostały zrealizowane po roku 1992. Należy tutaj wymienić:

Tak wyglądała przed laty ulica Czarnieckiego

Oczyszczalnię ścieków, ujęcie wody dla miasta i elektrowni, Kościół p.w. M.B. Wspomożenia Wiernych, Bank Spółdzielczy, modernizacje dróg gminnych, nowe tereny pod budownictwo mieszkaniowe indywidualne, szkołę w Ruszczy, węzły ciepłownicze na poszczególnych osiedlach i w sołectwach, modernizację ulic i placów, Zespół Szkół.

W roku 1972 Połaniec liczył ok.1260 mieszkańców, w roku 1990 stałych mieszkańców było 7302. Z pobieżnego przeglądu powyższej tabeli wynika, że Połaniec rozwijał się równomiernie we wszystkich kierunkach, co dawało mu możliwość pełnienia funkcji miasta i centrum gminy. Do realizacji ambitnych zamierzeń „reaktywowania Połańca" na mapie polskich miast, w latach 1972-1988 wybudowano w Połańcu 1407 mieszkań - to najlepiej oddaje skalę ogromnego wysiłku inwestycyjnego. Należy tutaj przypomnieć, że w tym czasie na mieszkanie w Polsce czekało się średnio ok. 10 do 12 lat. W Połańcu ten okres nie przekraczał 2,5 roku.

U zbiegu ulic Kościuszki, Kołłątaja i Czarnieckiego – w tym miejscu położony jest obecnie nowy plac zabaw

Zmiany ustrojowe, polityczne i społeczne, jakie rozpoczęły się w naszym kraju w roku 1990,

zahamowały „bum inwestycyjny" w Połańcu. Nie zrealizowano inwestycji, które były niejako tuż, tuż. Myślę tutaj o zakładzie przetwórstwa owocowego – a więc zakład z miejscami pracy dla kobiet, oraz o moście na Wiśle – powiązanym nitką ciepłowniczą z Mielcem.

Niewątpliwie budowa elektrowni przyczyniła się do renesansu Połańca, zatrzymała dalsze rozdrobnienie gospodarstw rolnych i zapobiegła dalszemu odpływowi młodych ludzi z tych terenów. Śmiało można więc zgodzić się z tezą pani Katarzyny Łącz, że Elektrownia im. Tadeusza Kościuszki miała miastotwórczy wpływ na Połaniec. /artykuł w nr 2 „Zeszytów Połanieckich".

Znając wspaniałych „Ludzi Połańca", ich twardość w dążeniu do celów, głębokie przywiązanie do „Małej Ojczyzny" oraz wykształconą połaniecką młodzież, wierzę głęboko, że znajdą się godni następcy Kazimierza Warchałowskiego czy Mieczysława Tarnowskiego oraz innych gorących patriotów, którzy dalej poprowadzą dzieło tworzenia z Połańca miasta, w którym ludziom będzie się żyło lepiej i dostatniej – na miarę XXI wieku.

Przemarsz przez połaniecki rynek

Pochód pierwszomajowy

Obraz budowy miasta byłby niepełny, gdybym nie podał nazwisk osób, które moim zdaniem dobrze zasłużyły się w tym czasie Połańcowi: mgr inż. Tadeusz Rubaszowski, mgr inż. Jerzy Plewiński, mgr inż. Jacek Dreżewski, mgr inż. Franciszek Wołodźko, mgr inż. Stuchły, mgr inż. Zenon Bobrek, mgr Zbigniew Szaniawski, dr Janusz Gil, płk Bogusław Jaźwiec, ks. Zygmunt Wieczorek, mgr Kazimierz Warchałowski, mgr Mieczysław Tarnowski, ks. Witold Dobrzański, mgr inż. Zbigniew Silarski, inż. Roman Nowak, Bezimienni budujący Połaniec (Kolejność nazwisk jest zupełnie przypadkowa).

190. ROCZNICA UNIWERSAŁU POŁANIECKIEGO

W 1983 r. nastąpił prawdziwy przełom w budowie miasta Połańca. Miało to miejsce tuż po powołaniu zespołu mającego za zadanie przygotować obchody 190 Rocznicy Uniwersału połanieckiego.

Fragmenty zapisów w Kronice najlepiej ilustrują przygotowania do upamiętnienia 190 rocznicy ogłoszenia Uniwersału połanieckiego: „W związku z przypadającą w dniu 7 maja 1984 roku 190 rocznicą ogłoszenia Uniwersału połanieckiego, na wniosek społeczeństwa, Zarządzeniem Nr 25 Naczelnika Miasta i Gminy w Połańcu, z dnia 7 lipca 1983 roku, został powołany Komitet Obchodów190 rocznicy ogłoszenia Uniwersału połanieckiego w składzie 40 osób, przewodniczącym którego jest mgr Mieczysław Tarnowski, nauczyciel Zbiorczej Szkoły Gminnej w Połańcu, zaś zastępcą inż. Zdzisław Owczarek

– Naczelnik Miasta i Gminy Połaniec.

Spośród Komitetu
wyłoniono
4 zespoły problemowe:

- zespół ds. zagospodarowania Kopca Tadeusza Kościuszki – z przewodniczącym Andrzejem Opałko,
- zespół ds. pomnika T. Kościuszki i zagospodarowania jego otoczenia – z przewodniczącym Andrzejem Szulakowskim,

- zespół ds. organizacji uroczystości, Sesji i Galerii Kościuszkowskiej – z przewodniczącym Kazimierzem Warchałowskim,
- zespół ds. porządkowania miasta – z Markiem Skrobaczem, jako przewodniczącym.

Do osób, które włożyły najwięcej wkładu w zorganizowanie uroczystości, należą:
- Mieczysław Tarnowski z młodzieżą ZSZ Połaniec,
- Zdzisław Owczarek – Naczelnik MiG Połaniec,
- Zdzisław Śledź z instruktorami i młodzieżą ZSZ,
- Stanisław Mieszczak – Główny Dyspozytor PBE i P Energoprzem Połaniec,
- Marian Bryk – pracownik PGKiM,
- Roman Nowak – inspektor ds. budownictwa UMiG,
- Jacek Dreżewski – Dyrektor Elektrowni z załogą,
- Grażyna Mróz – Dyrektor MOK,
- Teresa Dąbrowska – nauczyciel ZSZ,
- Waldemar Piątek – pracownik Elektrowni im. T. Kościuszki,
- Grzegorz Habiera z załogą ZBME.

5 i 6 maja 1984 roku odbyła się uroczystość Obchodów 190 rocznicy Ogłoszenia Uniwersału połanieckiego. Przy tej okazji uporządkowano ulicę Mielecką, miasto pokryło się licznymi dekoracjami, oraz dokonano modernizacji kopca Tadeusza Kościuszki, który podniesiono o 3 m. w górę.

W niedzielę, 6 maja 1984 roku z okazji 190 rocznicy Uniwersału Połanieckiego ks. Biskup Materski – Ordynariusz Diecezji, odprawił na Kopcu Tadeusza Kościuszki w Połańcu Koncelebrowaną Mszę Św., podczas której wygłosił okolicznościową homilie. Mówca nawiązał do wydarzeń listopadowych sprzed 190 lat, do tych, którzy walczyli o niepodległość, sprawiedliwość społeczną i wolność. Organizatorami uroczystości byli ks. Zygmunt Wieczorek, proboszcz parafii, oraz wikariusze: Stanisław Barański i Henryk Mochol.

Obszerne fragmenty uroczystości, zarówno świeckich jak i kościelnych, jakie odbyły się 5-6 maja zostały przedstawione w programie

Młodzież też świętowała 1 Maja

telewizyjnym „Niedziela w Połańcu" w dniu 20.05.1984 r.

W dniach 13-14 października 1984 r. po prawie stu latach urzeczywistniono marzenia mieszkańców Połańca, odsłaniając pomnik Tadeusza Kościuszki, który stanął na placu między ulicami Żapniowską i Bartosza Głowackiego.

Uroczystości uświetnił występ Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego, który przedstawił widowisko historyczne, związane z Insurekcją Kościuszkowską.

Przy przygotowaniu sesji, uroczystości jak i placu szczególnej pomocy udzielił:
- dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego – Anna Kochan,
- dyrektor Elektrowni im. T. Kościuszki – Jacek Dreżewski,
- naczelny inż. Elektrowni im. T. Kościuszki, Sławomir Krystek,
- dyrektor naczelny Energoprzemu - Antoni Mazur,
- oraz niezmordowany kontynuator budowy pomnika - Mieczysław Tarnowski.

Autorem rzeźby T. Kościuszki jest znany Polski rzeźbiarz Adam Myjak. Podczas odsłonięcia powiedział on: „Pragnąłbym podziękować Panu Naczelnikowi i Władzom Elektrowni za dużą i serdeczną pomoc w końcowym momencie realizacji Pomnika T. Kościuszki" - 4.X.1984 – Adam Myjak.

Odsłonięcia Pomnika T. Kościuszki dokonali:
- Tow. Janusz Basiak – I Sekretarz KW PZPR,
- płk Bogusław Jaźwiec – Wojewoda Tarnobrzeski,

- Janusz Metrzak – robotnik Elektrowni Połaniec,
- Violetta Słyk – uczennica Szkoły Podstawowej im. T. Kościuszki w Połańcu,
- Mieczysław Tarnowski – przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomnika,
- Janusz Gil – Przewodniczący RN MiG,
- Zdzisław Owczarek – Naczelnik MiG.

Z okazji 190-tej rocznicy ogłoszenia Uniwersału połanieckiego Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego koncertujący na pięknej ziemi połanieckiej, życzy władzom miasta i jego mieszkańcom wszelkiej pomyślności. Połaniec, 14.10.1984, Podpisy nieczytelne".

190 rocznica ogłoszenia przez Tadeusza Kościuszkę Uniwersału połanieckiego, była niewątpliwie jednym z ważniejszych wydarzeń w całej historii Połańca, nie tylko tego współczesnego. Cieszę się, że w tej historii miałem swoje miejsce, że wylałem dużo potu, angażując się w przygotowanie i realizację tej wspaniałej imprezy.

Obchody pierwszomajowe
w okolicach dzisiejszego Zespołu Szkół w Połańcu

BUDOWA ELEKTROWNI

Niniejsze wspomnienia poświęcam tym, których już nie ma między nami, w szczególności: Tadeuszowi Rubaszowskiemu, Andrzejowi Jedlińskiemu, Józefowi Zielińskiemu, Stefanowi Michalczykowi, Wacławowi Horonziakowi, Franciszkowi Kosowi, Mścisławowi Tobolewiczowi, Jerzemu Stolarskiemu, oraz proboszczowi z czasów budowy – ks. Zygmuntowi Wieczorkowi.

Wstęp

Pierwszą wzmiankę o budowie elektrowni węglowej w Połańcu przeczytałem w „Polityce" w roku 1971. Pan Szymon Kobyliński w podpisie swojego rysunku bardzo się dziwił, po co w Połańcu budować elektrownię, skoro nie ma tam puszczy. Była to oczywiście aluzja do bezsensownej lokalizacji elektrowni w Świerżach Górnych w samym środku Puszczy Kozienickiej. Sam dziwnym zrządzeniem losu wyjechałem na budowę „Kozienic" z Łodzi w kwietniu roku 1972, nie danym mi jednak było zagrzać tam dłużej miejsca. 24 sierpnia 1972 roku po zatwierdzeniu planu realizacyjnego przedsięwzięcia „Elektrownia Połaniec" Dyrektor Zakładów Energetycznych Okręgu Wschodniego z dniem 1 stycznia 1973 roku powołał zakład pod nazwą „Elektrownia Połaniec w budowie" z siedzibą w Połańcu – Zawadzie.

Na stanowisko dyrektora naczelnego zakładu powołano mojego szefa z Kozienic – inż. Tadeusza Rubaszowskiego. Tak właściwie zaczęła się moja przygoda z Połańcem, która trwała 22 lata. Dwadzieścia dwa lata chyba najlepsze w moim zawodowym życiu. Oddelegowany zostałem do pracy w Połańcu od dnia 10 kwietnia 1973, pracę zacząłem jako kierownik Wydziału Przygotowania Eksploatacji i dyrektor Zasadniczej Szkoły Zawodowej, którą powołano 01.09.1973 roku.

Jak wspominałem wyżej, pierwszy raz noga moja stanęła w Połańcu 10 kwietnia 1973 roku i to od razu w doborowym towarzystwie. Tego samego dnia na budowę zjechała bowiem delegacja partyjno-rządowa z Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem na czele. Pamiętam, że martwili się czy śliwy i wiśnie, które kwitły w sadzie pana Floriana Maja, zdążą obrodzić.

Później budowa zaczęła im przysparzać znacznie więcej zmartwień i to bardziej poważnych. Front inwestycyjny w kraju był tak rozdmuchany, że dla „Połańca" zaczęło brakować ludzi, urządzeń, materiałów, z dnia na dzień staliśmy się budową „buforową" dla Huty Katowice, która była oczkiem w głowie KC PZPR.

Nieistniejący już plac zabaw w Połańcu

Początki naszej pracy to była świetlica w Rejonie Energetycznym w Staszowie, sala 80 m^2 i około 30 osób z rożnych stron Polski, w rożnym wieku, o różnych temperamentach. To była prawdziwa mieszanka wybuchowa, ale tak miłej i sympatycznej atmosfery, wzajemnej tolerancji i pomocy nie udało mi się już nigdy później doświadczyć. Strasznie zazdrościli nam pracownicy rejonu tej atmosfery i „stosunków międzyludzkich" – jak to się wtedy mówiło, wielu z nich zarażonych naszym optymizmem, mimo zrozumiałego sprzeciwu kierownictwa rejonu, zmieniło pracę. Pasja budowania i tworzenia czegoś od podstaw, możliwość sprawdzenia się w ekstremalnych warunkach – to było dla nas najważniejsze, nikt nie pytał o pieniądze i o to, czy to co mu polecono, należy do jego obowiązków. Jeśli ktoś mi nie wierzy, niech przeczyta wywiad z panią Krystyną Szklanowską w Echu Elektrowni nr 8/97.

Wzajemne więzi pogłębiły się jeszcze, kiedy oddaliśmy do zamieszkania blok w Staszowie i większość zamieszkała w jednym budynku.

Powołanie Wydziału Przygotowania Eksploatacji i Szkoły Przyzakładowej w pierwszej fazie budowy miało na celu uniknięcie błędu, jaki popełniono w Kozienicach, gdzie budowa znacznie wyprzedzała przygotowanie kadry. Udało się to całkowicie, czego dowodem jest najbardziej fachowa w polskiej energetyce Załoga Elektrowni im. Tadeusza Kościuszki w Połańcu. Myślę, że zadziałało tu prawo jednego z generałów – „Im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w walce". Jeżdżąc po obiektach, na których szkoliła się nasza załoga, zauważyłem wspaniałą atmosferę wśród tych wtedy młodych ludzi, to wszystko musiało zaprocentować i zaprocentowało.

Kto budował elektrownię ?

/Z materiałów opracowanych przez Generalnego Projektanta Elektrowni „Połaniec|, Jerzego Plewińskiego /

Wykonawcy robót

Realizację przedsięwzięcia inwestycyjnego Elektrowni podjęły na przestrzeni lat 1973- 1998 zatrudnienie następujących firm:

ENERGOPRZEM Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni i Przemysłu Kraków

- generalne wykonawstwo oraz roboty ogólno-budowlane budynku głównego i większości obiektów produkcyjnych pomocniczych oraz usługowych, drogi, tory zapleczowe, budownictwo mieszkaniowe i towarzyszące, kierowane kolejno w podanych okresie przez:

Stanisława BŁAZIAKA - od maja 73 do sierpnia 74;

Janusza WINNICKIEGO od czerwca 74 do czerwca 79,

Tadeusza STUCHŁEGO od maja 79 do października 83,

Jana MÜLLERA - od listopada 83 do maja 84,

Antoniego MAZURA od czerwca 84

Pełnomocnikami resortów byli:

Michał TOMASZEWSKI - od lutego 79 do marca 79,

Władysław DULIBAN - od kwietnia 79 do kwietnia 80,

Głównym dyrektorem budowy był: Józef ZIELIŃSKI: od kwietnia 80 do maja 82

Po tym czasie nie byli już powoływani kierownicy tego szczebla, wobec przeżycia się nadrzędnych struktur sterowania centralnego.

ENERGOMONTAŻ PÓŁNOC Warszawa, Przedsiębiorstwo Montażu Elektrowni i Urządzeń Przemysłowych:

- roboty montażowe i produkcja pomocnicza: konstrukcja stalowa bloków (1, 6, 7 i 8 oraz częściowo 2, 3 i 4), części ciśnieniowe kotłów (1, 4, 6, 7 i 8 oraz częściowo 3), urządzenia pomocnicze (bez młynów) kotłów (1, 3, 6, 7 i 8 oraz częściowo 2 i 5), rurociągów WP i NP (częściowo bloków 1 oraz od 3 do 8) urządzenia zmiękczalni, gospodarki olejowej oraz podpory rurociągów odprowadzenia odpadów paleniskowych.

ENERGOMONTAŻ POŁUDNIE Katowice:
- roboty montażowe i produkcja pomocnicza: konstrukcja stalowa bloków (2, 3 i 5), część ciśnieniowa kotła 3 (częściowo), urządzenia pomocnicze kotłów (4 i częściowo 2 i 5), elektrofiltry, wentylatory spalin oraz kanały spalin od kotła do czopucha i czopuchy bloków (2 do 8), rurociągi WP i NP (bloków 1 do 8), turbozespoły z urządzeniami związanymi (bloków 1 do 8, urządzenia pompowni wody chłodzącej, urządzenia nawęglania (częściowo),

ENERGOMONTAŻ ZACHÓD Wrocław:
- roboty montażowe i produkcja pomocnicza: część ciśnieniowa kotłów (2 i 5) i młynów kotła 1), rurociągi WP i NP. (częściowo bloków 1, 2 i 5) oraz urządzenia pompowni bagrowej Nr 1,

MOSTOSTAL Przedsiębiorstwo Konstrukcji Stalowych i Urządzeń Przemysłowych Stalowa Wola
- roboty montażowe i produkcja pomocnicza: konstrukcji stalowej bloków (2 do 5 częściowo) oraz większość urządzeń nawęglania,

ELEKTROBUDOWA Przedsiębiorstwo Montażu Elektrycznego Katowice:
- produkcja i montaż rozdzielni WN i NN, wyprowadzenie mocy z generatorów oraz szynoprzewody połączeń potrzeb własnych, układanie kabli siłowych i sterowniczo - pomiarowych, montaż aparatury elektrycznej w nastawniach, instalacje elektryczne siły i światła oraz oświetlanie terenu siłowni,

TERMOIZOLACJA Przedsiębiorstwo Robót Izolacyjnych Zabrze:
- roboty montażowe i produkcja pomocnicza: obmurza i izolacji kotłów, izolacji cieplnych urządzeń technologicznych i rurociągów, malowanie konstrukcji stalowych,

GENERALNY PROJEKTANT - mgr inż. Jerzy PLEWIŃSKI

Prace projektowe wykonywane były przez ENERGOPROJEKT siłami własnymi jak i przez podwykonawców w ramach umów zawartych z Inwestorem EP, jak też zlecanych bezpośrednio przez EP. Opracowania projektowe były wykonywane kompleksowo i wielobranżowo, aby ograniczyć do niezbędnego minimum uczestników w procesie projektowania, jak też zapewnić jak najlepszą koordynację i sprawdzalność projektów. Zapewniono również kompletność projektów przez przyjęcie spójnego systemu odznaczeniowego, jednorodnego nazewnictwa i zawartości zgodnej z zastosowanym w projektowaniu kompletnego Wykazu Obiektów Inwestycyjnych (WOI).

Na wspomnienia, z okazji 30 rocznicy odzyskania przez Połaniec praw miejskich zebrało się Z.B. Owczarkowi, (który serdecznie pozdrawia wszystkich aktywnych mieszkańców miasta, którego jest Honorowym Obywatelem).

Serdecznie zapraszamy do odwiedzenia strony internetowej p. Zdzisława Owczarka
http://www.retsat1.net/ed023/index.htm

Paulina Płachta

PRZEWODNIK GENEALOGA DYLETANTA

Życie rodziców jest księgą, którą czytują dzieci
Św. Augustyn

Asumptem do napisania tego artykułu stał się tekst autorstwa Radosława Matusiewicza opublikowany w 17 numerze Zeszytów Połanieckich: Genealogia – – modna pasja. Okiem historyka chciałabym Państwu dostarczyć kilku istotnych wskazówek natury merytorycznej.

Istotnym czynnikiem kształtującym społeczeństwo, wyznaczającym tworzenie się zarówno jego struktur, jak i przede wszystkim grup społecznych, są związki wypływające z pokrewieństwa.

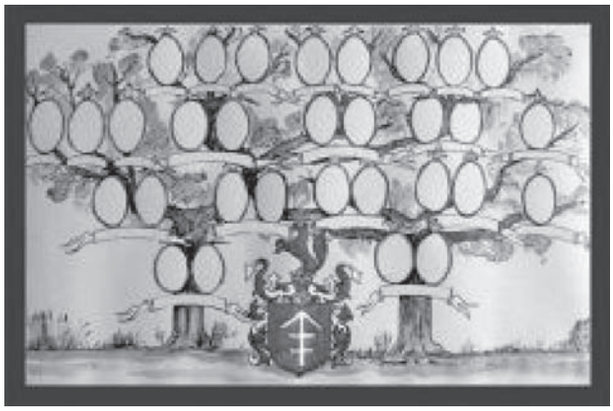

Rys. Przykładowy szkic drzewa genealogicznego

Podstawowe pojęcia genealogii:

Ród – to osoby złączone wspólnotą krwi, pochodzące od jednego i tego samego przodka. Więź wewnętrzną rodu w ustroju pierwotnym stanowi pochodzenie macierzyste, a w bardziej rozwiniętych ustrojach pochodzenie ojcowskie.

Filiacja – jest to stosunek genealogiczny, zachodzący pomiędzy kilkoma osobami, które pochodzą bezpośrednio jedna od drugiej (dziadek, syn, wnuk). Stosunki genealogiczne, wynikające z filiacji nazywamy pokrewieństwem.

Koicja – natomiast jest związkiem dwojga ludzi odmiennej płci, zawartym dla spłodzenia i wydania na świat potomstwa. Koicja najczęściej zatem jest wynikiem małżeństwa. Stosunki genealogiczne, wynikające z koicji nazywamy powinowactwem.

Pokrewieństwo – jest to stosunek wynikający z pochodzenia od wspólnego przodka. Pokrewieństwo w linii prostej zjawia się wówczas, gdy zachodzi stosunek filiacji (dziadek, syn, wnuk), natomiast w wypadku, gdy istnieje wspólny przodek, ale nie ma stosunku filiacji, mamy do czynienia z pokrewieństwem w linii bocznej (stryj, siostrzeniec, ciotka, siostrzenica). W stosunku do rodziców i ich przodków potomstwo nazywa się zstępnym (descendenci), rodzice natomiast i ich przodkowie zwą się wstępnymi (ascendenci).

Powinowactwo – jest konsekwencją małżeństwa i jest stosunkiem jednego małżonka do krewnych drugiego małżonka.

Stopnie pokrewieństwa – to odległości genealogiczne pomiędzy dwoma krewnymi.

Pokrewieństwo w linii prostej jest liczone jednakowo we wszystkich ustawodawstwach. Ojciec i syn są krewnymi w I stopniu, dziadek i wnuk w II stopniu; czyli tyle stopni, ile generacji, odejmując jedną.

Ustalanie faktów genealogicznych

Dla badań genealogicznych rudymentarne znaczenie ma ustalenie takich faktów, jak filiacja, chronologia niektórych wydarzeń zachodzących w życiu każdego lub niemal każdego człowieka, przynależność klasowa czy stanowa, stan majątkowy, zawód i wyznanie. Bez ustalenia tych danych badania genealogiczne są niepełne, a nawet wręcz nieprzydatne. W nich także tkwi szerszy kwintesencja uprawiania genealogii w ogóle. Dla wykazania filiacji posługujemy się następującymi wyznacznikami:

- prawnymi, np. obowiązującymi w zakresie zawierania małżeństwa;
- historycznymi, np. oczywista niezgodność z towarzyszącymi wydarzeniami;
- biologicznymi, trudniejszymi do uchwycenia i często zawodnymi, jak np. podobieństwo fizyczne czy psychiczne.

Najbardziej autorytatywnym źródłem są zapisy w księgach metrykalnych, które kancelarie parafialne prowadziły od soboru trydenckiego, a więc pod koniec XVI stulecia i zachowały się relatywnie nieliczne nawet z XVIII w. Dopiero nadanie im formalnego - urzędowego charakteru akt stanu cywilnego przez władze zaborcze, zadecydowało o ich systematycznym prowadzeniu i skrupulatnym gromadzeniu. Przy okazji udzielania chrztu, zawierania małżeństwa i rejestrowania pogrzebu notowano w nich wcale zasobny materiał genealogiczny.

Ustalanie chronologii dotyczy fundamentalnych dat z życia człowieka, przede wszystkim urodzenia i zgonu, przy czym należy uwzględnić, że księgi metrykalne jeszcze w XVIII w. rejestrują jedynie datę chrztu i pogrzebu oraz permanentnie datę zawarcia małżeństwa.

Datę urodzenia wyznaczamy, jeśli to możliwe, przede wszystkim na podstawie metryki chrztu. W przypadku jej braku, czas tego wydarzenia możemy skonstatować z wiekiem podanym

w metryce pogrzebu. Dane te jednak mają z reguły jedynie walor umowny. Do połowy XVIII w. rejestrowano bowiem wiek zmarłych najczęściej tylko w przybliżeniu. Podobne obiekcje wywołują informacje nader incydentalnie notowane w metrykach ślubu o wieku nupturientów, w głównej mierze, w nawiązaniu do panny młodej, której autentyczny wiek chciano w ten sposób zataić.

Datę śmierci ustalamy na podstawie metryki pogrzebu. Miarodajną wskazówkę stanowi ostatnia notacja informująca o osobie jako żywej i pierwszy zapis, informujący o niej jako zmarłej.

Implicytne ustalenia faktów genealogicznych kontrolujemy ogólnie przyjętymi regułami, które precyzują, iż na jedno stulecie liczy się przeciętnie po trzy pokolenia (wiek pokolenia to 30 – 35 lat).

Typy źródeł wykorzystywanych do badań genealogicznych:

- akta metrykalne
- księgi kościelne
- spisy ludności
- akta instytucji wymiaru sprawiedliwości
- akta placówek oświatowych
- akta partii i stowarzyszeń
- akta kancelarii z okresu staropolskiego (Metryka Koronna, Litewska, Mazowiecka, Wołyńska)
- akta instytucji powołanych do badania szlachectwa (XIX w. deputacje szlacheckie i Heroldia Królestwa Polskiego)

Tablice genealogiczne:

Znakami umownymi stosowanymi w tablicach genealogicznych są:

*	- urodzony
†	- zmarł
~ × ∞	- ożeniony
*†	- martwo urodzony
Δ	- pochowany
⚔	- poległ

Ponieważ wszelkie stosunki genealogiczne zwykło się unaoczniać tabelarycznie, tym samym są trzy rodzaje tablic genealogicznych, które poniżej scharakteryzuję.

Tablice descendentów.

Określana także mianem drzewa genealogicznego (od sposobu przedstawiania dawniej rodowodu: przodek – to pień, szczyt korony aktualnie żyjący jego potomkowie) jest to kontaminacja osób pochodzących od jednej i tej samej pary małżeńskiej lub jednego i tego samego męskiego protoplasty. Drzewo genealogiczne układa się zwykle tylko w liniach męskich, tzn., że już dalej nie prowadzi potomstwa kobiet; jest to więc, jeżeli chodzi o czasy nowsze, genealogia osób wspólnego pochodzenia, noszących to samo nazwisko. Wzór takiego drzewa genealogicznego można określić w dualny sposób, albo w kierunku poziomym, albo pionowym. Dla każdej generacji przyjmujemy osobne linie poziome względnie pionowe, oznaczone cyfrą rzymską (patrz schemat poniżej).

Schemat poziomy

(Wielkie litery – mąż, małe – żona)

Są to tablice obejmujące potomstwo męskie i żeńskie (uwzględniając czasem mężów córek) w obrębie tylko nazwiska. Niejednokrotnie tworzy się rodowody uproszczone, głównie z prze-

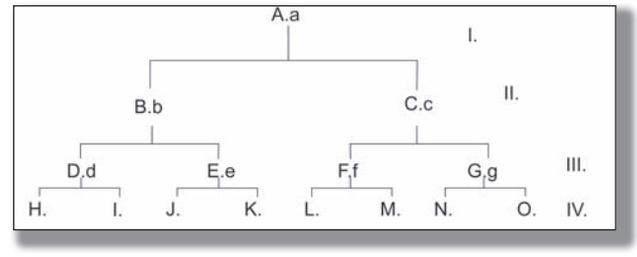

Wyciągi z tablic descendentów, czyli rodowodów

znaczeniem dla celów szkoleniowych. Jeszcze częściej buduje się rodowody opisowe, czyli studia genealogiczne. Rodowody mają szczególną wartość dla zagadnień dziedziczenia, ukazując jeden z kluczowych komponentów wspólnoty społecznej.

Tablice ascendentów, czyli wywody przodków. Są to zestawienia osób, od których dana jednostka (tzw. probant) pochodzi zarówno po mieczu, jak i po kądzieli. Służą do wykazania praw spadkowych, uprzednio zaś do nabywania różnych funkcji, kiedy wymagano wykazania się szlachectwem od 4 do 32 przodków. Ze względu na rozpropagowanie tego rodzaju tablic należy poświęcić nieco atencji ich konstrukcji. Każda pozycja w wywodzie genealogicznym uzyskuje swoją numerację. Taki wywód zaczyna się od jednej osoby i posuwa w górę, wyszczególnia się więc oboje rodziców, dalej dwóch dziadów i dwie babki, po-

tem czterech pradziadów (ojczystych i macierzystych) i cztery prababki itd., podwajając liczbę osób przy każdym wyższym pokoleniu. Wywód genealogiczny bywa więc ograniczony w górze tylko niemożnością odnalezienia odległych protoplastów (pradziadów i prababek), w dole zaś zamyka się na jednej osobie probanta.

Schemat wywodu przodków

Archiwa dostarczają odpowiedzi na pytania przesłane drogą pocztową, a także udostępniają w pracowniach naukowych materiały archiwalne do samodzielnego przeszukiwania. Do wyszukania materiałów archiwalnych w archiwach

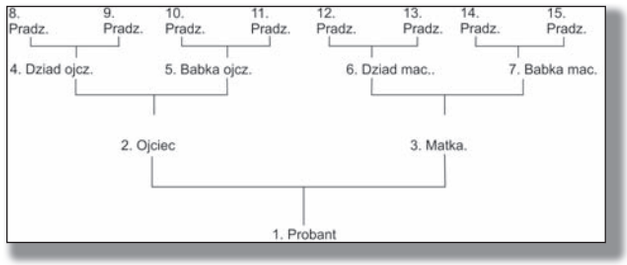

Realizacja kwerend genealogicznych
w archiwach państwowych

państwowych służą następujące pomoce ewidencyjno – informacyjne: przewodniki po zasobie archiwum, spisy zespołów, inwentarze zespołów, przewodniki po zespołach, spisy zdawczo – odbiorcze, repertoria, skorowidze, sumariusze, indeksy, informatory, katalogi tematyczne, komputerowe bazy danych, których wykaz umieszczono w internecie.

Publikacja elektroniczna Po mieczu i po kądzieli zawiera bazy danych:

- PRADZIAD (Program Rejestracji Akt Metrykalnych i Stanu Cywilnego)
- ELA (Ewidencje Ludności w Archiwaliach)
- NOBILITACJE (Nobilitacje i przywileje)
- EWANGELICY (Ewangelicy w Warszawie)
- PODLASIE (Właściciele ziemscy na Podlasiu)

Wszystkich zainteresowanych tematem zachęcam do odwiedzenia poniżej zamieszczonych stron internetowych. Zaś literatura przedmiotu będzie stanowiła dla Państwa istotną wskazówkę w zainicjowaniu poszukiwań rodzinnych korelacji.

Linki

- http://www.genealodzy.pl
- http://www.genpol.com
- http://www.moikrewni.pl/mapa
- www.genealogia.okiem.pl
- http://www.ornatowski.com
- http://www.republika.pl/slucki
- http://genealogia.toplista.pl
- http://www.pgsa.org
- http://www.rootsweb.com/~polwgw/polandgen.html
- http://www.rtrfoundation.org
- http://www.kf.vu.lt/baris/Faksimiles.html
- http://familysearch.com
- http://www.mormoni.pl/html/1/05//1,05,01,001.html
- http://www.ellisislandrecords.org

Literatura

- Arnold S., Geografia historyczna Polski, Warszawa 1957
- Balzer O., Genealogia Piastów, Kraków 1895
- Boniecki A., Herbarz polski I – XVI (tylko do litery M), Warszawa 1887
- Boniecki A., Poczet rodów w W. X. Litewskim, Warszawa 1887
- Borkowski J., Spis nazwisk szlachty polskiej, Lwów 1888
- Gloger Z., Geografia historyczna ziem dawnej Polski, Kraków 1903 [reprint Warszawa 1991]
- Litak S., Kościół łaciński w Rzeczypospolitej około 1772 roku. Struktury administracyjne, Lublin 1996
- Prinke R.T., Poradnik genealoga amatora, Warszawa 1992
- Semkowicz W., Encyklopedia nauk pomocniczych historii, Kraków 1999, wyd. I
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, red. B. Chlebowski, t. 1-15, Warszawa 1880-1902 [reprinty]
- Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej z oznaczeniem terytorialnie im właściwych władz i urzędów oraz urządzeń komunikacyjnych, oprac. komitet redakcyjny pod kierunkiem inż. T. Bystrzyckiego, Przemyśl - Warszawa [1935]
- Wykaz urzędowych nazw miejscowości w Polsce, t. 1-3, Warszawa 1980

Grażyna Wiącek

WINNICKA WISŁA

I Część – Ludzie Wisły

- **W latach 1920-30 przewozem przez Wisłę zajmowali się Rojowscy z Glin Małych (na trasie w stronę „Podskala"- za górą winnicką),**
- **Później przewóz przeszedł „w ręce" ludzi z Winnicy :**

- FRANCISZEK WIĄCEK, otrzymał koncesję (zezwolenie) na przewóz w 1933 r. (wydaną przez Rejon Wodny w Sandomierzu). W 1936 r. zakupił nowy „sprzęt", na zamówienie z Ulanowa. Był to m.in. prom na linę, umieszczoną nisko nad wodą (jeśli Wisłą przepływały statki towarowe i barki, to linę wpuszczano do wody, aby umożliwić im przepływ). Przepływały tędy i statki pasażerskie z Krakowa (I „Sandomierz", II „Krakus"- do Warszawy, III chyba do Gdańska). Miały one przystanek na Winnicy (ok. 1 godz.) i Franciszek W. je cumował (pasażerowie robili wtedy zakupy spożywcze na Winnicy lub wychodzili na spacer na górę winnicką). Franciszek W. kiedy pełnił funkcję sołtysa na Winnicy, zatrudniał pomocników. Np. przed wojną i na początku wojny pomagał w przewozie kuzyn PIOTR PAWLAK (a potem krótko także i po wojnie).

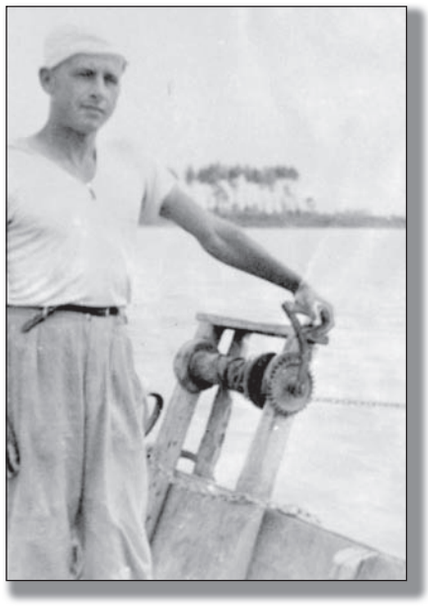

2 Piotr Pawlak na promie
(widać tylko kawałek promu – korbę i linę)

W czasie wojny, gdy Franciszek W. został wójtem gminy Połaniec, przewozem przez Wisłę zajmowali się na zmianę MARIAN WARCHAŁOWSKI i MARIAN GAJ 07.1943 r. („Kronika Gminy Połaniec 1934-1995"). Franciszek W. został aresztowany przez żandarmerię niemiecką ze Staszowa i wywieziony najpierw do Sandomierza, potem do Krakowa i do domu już nie powrócił (według relacji świadka-współwięźnia, pochodzącego z Ujścia, w więzieniu w Krakowie na „Montelupich", Franciszek wylosował „czerwoną kartkę",co oznaczało – rozstrzelanie).

Przewóz na Winnicy był też wykorzystywany do innych celów i tak np.:

- przed wojną STANISŁAW PAWLAK i WŁADYSŁAW BIELAWA wyławiali „szuter" (żwir) z Wisły i sprzedawali go do celów budowlanych,

- w czasie wojny przewóz był też wykorzystywany do potrzeb działającej w tych okolicach partyzantki („W pobliskiej Winnicy znajdował się przewóz przez Wisłę. I tu mieszkali nasi ludzie" – str. 78; „W rejonie Połańca przy ujściu rzeki Czarna do Wisły, zamieszkiwał przewoźnik Wiącek, a w pobliskiej Winnicy mogliśmy korzystać z przewozu zarówno w dzień, jak i w nocy" – str. 82, „Szlakiem Jędrusiów" – E. Dąbrowski). W akcjach „Jędrusiów" z wykorzystaniem przewozu brali udział m. in. STACH PAWLAK, MARIAN WIĄCEK i MICHAŁ WIĄCEK („Znajomy przewoźnik (Wiącek) przewiózł nas łódką przez rzekę Czarną w pobliżu Winnicy, koło Połańca, przy samym jej ujściu do Wisły. Dość często kręciliśmy się ostatnio w tych stronach" –str. 78 „Szlakiem Jędrusiów"),

- po wojnie, t.zw. półgalarkiem (w latach 1945-46 r.) Bolesław Wiącek z bratem Stefa-

nem W. spławiali faszynę (wierzba krzaczasta) na trasie: Maśnik, Budziska , Winnica, na budowę tam; w międzyczasie (ok. 2 dni w tygodniu) StefanW. z Tadkiem Warchałowskim, łódką i półgalarkiem przewozili ludzi i zwierzęta (galar zaraz po wojnie został zniszczony).

- MICHAŁ WIĄCEK „MITEK"), w latach młodzieńczych pracował na gospodarstwie rodziców i grywał w kapeli wiejskiej (na kornecie, potem na puzonie). W czasie wojny i po wojnie zajął się przewozem przez rzekę Czarną i rzekę Wisłę (łódką i półgalarkiem). Pomagali mu bracia TADEUSZ i MARIAN WARCHAŁOWSCY, a czasem też i brat Marian Wiącek. Ok. 1947 r. Michał W. został strażnikiem na Wiśle (z nadzorem w Gawłuszowicach) na odcinku: Maśnik-Tursko. Wytyczał koryto Wisły dla przepływających tędy statków, zaznaczał tykami wystające pniaki, korzenie, stare słupy z mostów (zbudowanych przez Rosjan, z I i II wojny św.), był też strażnikiem kęp nad Wisłą. Bardzo mile wspomina mój brat August Wiącek swoje „małe wyprawy" po Wiśle ze stryjkiem „Mitkiem" na t.zw. „patrol": wypływali skoro świt, sprawdzali stan znaków nawigacyjnych… Wspólne wiosłowanie, czysta woda, rozpoznawanie różnych gatunków ryb… Wrażenia z tym związane pozostały wdzięcznym sercem dla stryjka do dziś i stały się bodźcem do późniejszych spływów i poznawania Wisły także na innych odcinkach naszego kraju.

Po uzyskaniu emerytury, Michał W. zajął się swoim gospodarstwem rolnym.

Winnica 1956 r. (Michał Wiącek z bratem Marianem W. przewożą półgalarkiem: Marię Gregorczyk, Stacha Warchałowskiego, brata Stefana W. ...)

Michał W. zbratem Edwardem W. i małym Augustem (synem, brata Stefana W.) na przewozie |w 1958 r.

Ryszard (syn Michała W.) na łódce swego taty, ok.1968 r.

- MARIAN WIĄCEK, zajął się przewozem ok. 1948 r. Kupił używaną łódkę i galar; przewoził ludzi, wozy konne i zwierzęta. Prowadził też swoje gospodarstwo i grał w kapeli wiejskiej na: klarnecie, akordeonie, potem na saksofonie (i wtedy na przewozie pomagali mu: Marian Warchałowski i Eugeniusz Wiącek).

- EUGENIUSZ WIĄCEK, syn Franciszka W. Przejął przewóz na Wiśle od Mariana Wiącka ok. roku 1963-go, po uzyskaniu „patentu żeglarskiego" (po szkoleniu i zdanym egzaminie w Krakowie). Przewoził początkowo łódką

Winnica,1959 r. na przewozie: Marian Wiącek przewozi galarem wóz konny i ludzi, a na pierwszym planie dzieci Stefana W. (Grażyna i mały August, który uczy się wędkować) na łódce Michała Wiącka

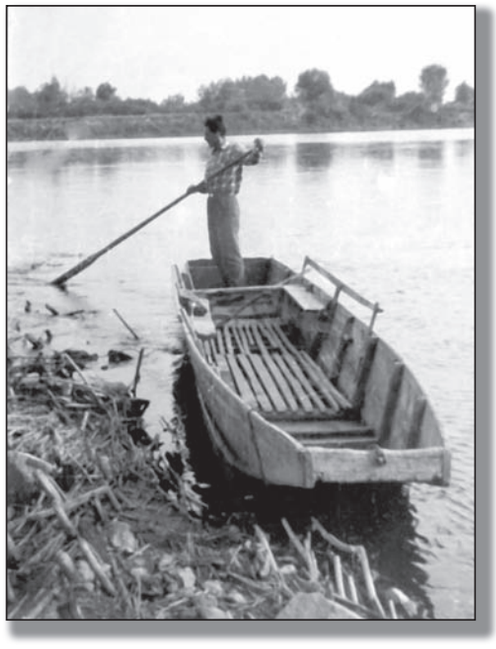

Winnica –lata 60-te. Gienek przewozi „łódką – pychówką”

drewnianą, tzw. „pychówką”, a zwierzęta i wozy konne promem-galarem (na wiosła).

Później łódkę drewnianą zamienił na łódkę metalową około 1980 roku z „motorem przyczepnym”.

Na emeryturę przeszedł w lipcu 1994 roku. Prowadzi razem z żoną gospodarstwo rolne na Winnicy.

Winnica około 1970 r.

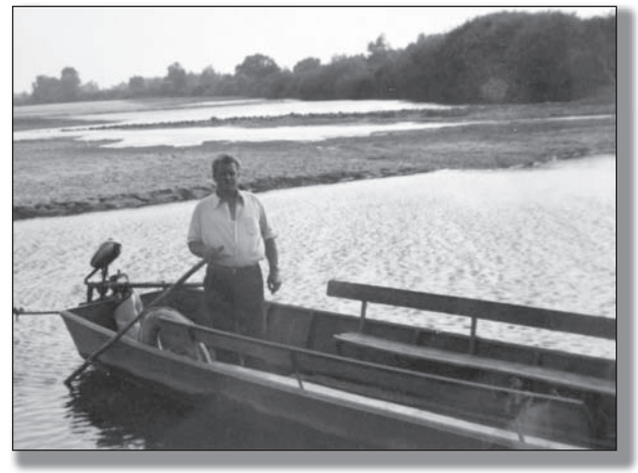

Gienek W. na łódce z „motorem przyczepnym” w latach 80-tych

- MARIAN WOLSKI (szwagier Eugeniusza W.) też swoje życie związał z Wisłą. Pracował przy wydobywaniu żwiru z Wisły, a w latach

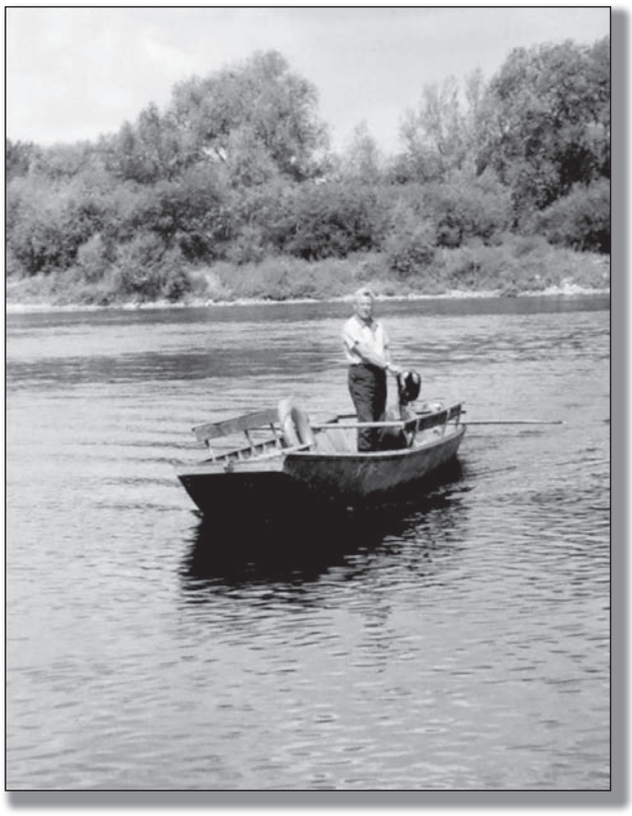

Gienek W. na łódce z „motorem przyczepnym” w latach 90-tych

1970-83 r. przy regulacji i umacnianiu brzegów (w „Przedsiębiorstwie Budownictwa Wodnego” w Sandomierzu).

„LUDZIE WISŁY”, to ludzie pracowici, zahartowani, odważni i odpowiedzialni. Znali swoją Wisłę często od dziecka, jej głębie i płycizny… Wiedzieli którędy bezpiecznie przewozić pasażerów, a w zimie przeprowadzali ich bezpiecznie po lodzie. A Wisła i warunki pogodowe nie raz ich samych zaskakiwały. Ale dzięki ich szybkiej i pewnej reakcji udało się łódkę z pasażerami bezpiecznie doprowadzić do brzegu. Pamiętam, jak którejś zimy stryj Mitek W., z synem Ryśkiem, przewozili naszą rodzinę przez Wisłę, do Glin Małych (do autobusu). Kry, płynące w dół Wisły, na wysokości Winnicy zaczęły się coraz bardziej zbijać (Wisła „stawała”), a oni balansując zwinnie łódką przewieźli nas na drugi brzeg. Staliśmy potem długo na brzegu, modląc się, aby bezpiecznie na swój winnicki brzeg powrócili (sprawni, odważni i oddani rodzinie – tacy właśnie byli…).

Zimowa Wisła (składanka zdjęciowa) w latach 70-tych, widok z góry winnickiej

Część II – Czym była Wisła dla miejscowej ludności?

Dla jednych była źródłem zarobku (przewóz przez Wisłę, wyławianie żwiru, budowanie tam,

Winnica 1941 r. Krowy pasało się gromadnie: Tadziu Głogowski, Zdzich i Rysiu Buda, Stach, Czesiu i Marysia Skiba, Stefan Wiącek, Zofia Taras, Stach Warchałowski…

15 Winnica 1941 r. na pastwisku, nad Wisłą, na koniach: Rysiu Buda, Tadziu Głogowski, Stefan Wiącek i Stach Skiba

umacnianie brzegów), ale nie tylko. Na błoniach nad Wisłą pasało się krowy i konie, a potem poiło się je w Wiśle.

Mój tato - Stefan Wiącek, dla którego Wisła była „radosnym żywiołem", lubił spławiać w niej konie (stawał nogami na grzbiecie jednego i trzymając oba za uzdy ,pływał z nimi, zanurzony po kolana w wodzie, a im tylko pyski wystawały nad wodę). Od małego lubił pływać w Wiśle. Pamiętam, jak opowiadał mi następujące zdarzenie (miał wtedy 9 lat): jego mama, Zofia Wiącek, wybrała się nad Wisłę moczyć konopie (winnickie kobiety nieraz moczyły w Wiśle len i konopie, czasami też i pranie). Nagle zobaczyła głowę płynącego środkiem Wisły człowieka. Zapytała ze strachem idącego obok A. Maciosa, czy nie wie. kto to płynie? „Jak to. nie poznajecie? To wasz Stefuś!" – biedna mama zemdlała…

Tak więc wody Wisły służyły też miejscowym (i przyjezdnym) ludziom do rekreacji i wypoczynku. Tu przychodzili na tzw. „majówki" sobotnio-niedzielne. Były to np. ogniska

1953 r. na górze winnickiej: Edward Wiącek, Teresa Wiącek i Eugeniusz Wiącek

17 1954 r. Widok na Wisłę z góry winnickiej (pozują do zdjęcia: Teresa Wiącek i Maria Gregorczyk)

1970 r. Stefan Wiącek pozuje do zdjęcia na tle swojej kochanej Wisełki

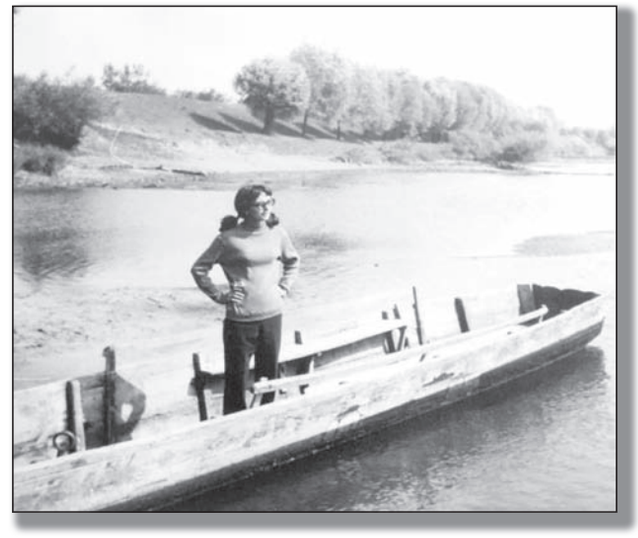

1971 r. Grażyna Wiącek (ta rzeka zawsze wzbudzała we mnie respekt i podziw)

1992 r. Winnica - Ania Wiącek (córka Augusta), na łódce wujka Gienka W.

„z zagrychą", spacery nad Wisłą, po wale, na górę winnicką, oczywiście z „sesją zdjęciową".

Odbywały się też „spacery" łódką po Wiśle, lub tzw. wieczorne spływy (płynęło się łódką najpierw w górę, potem cumowało się łódkę na środku Wisły; Marian Wiącek grał na akordeonie, a towarzystwo śpiewało (przychodzili często ludzie z Glin Małych, posłuchać, a może i pośpiewać); potem łódką wracali w dół Wisły, do winnickiego brzegu).

1968 r. Winnicka młodzież: Halinka Tomalska, Rysiek Wiącek i Leszek Pawlak (na łódce Michała Wiącka)

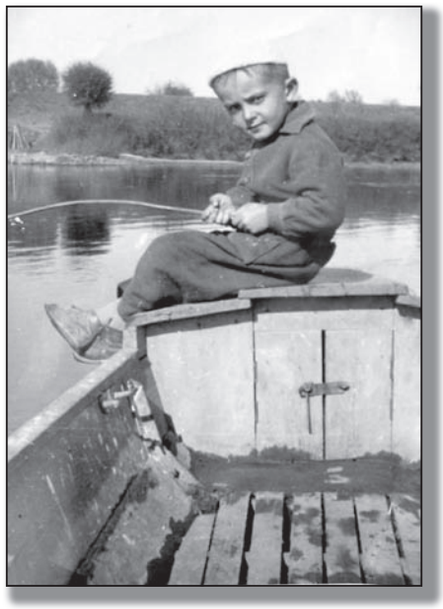

Mój brat Auguścik uczył się wędkować już od małego – Winnica 1959 r.

Przychodzili tu też ludzie łowić ryby i z Winnicy i z okolicy.

1995 r. August Wiącek, z boleniem złowionym na wyspie, w Glinach Wielkich

Latem na tzw. „blakach", czyli piaszczystych plażach, pełno było ludzi, którzy lubili się tu opalać i skakać „na nurka" do wody, choć nie zawsze było to bezpieczne.

1970 r. Winnica i chłopcy w kąpieli: August Wiącek, Jerzyk (Lutek) Wiącek i Boguś Wolski

1992 r. Winnica (Beata Sroka, Ania Wiącek i Jola Pszczoła), na wiślanej plaży

W latach 70., stacjonował na Winnicy WOPR z Elektrowni Połaniec; mieli tu pomost i łódkę patrolową… (w tle widoczny holownik Przedsiębiorstwa Wodnego z Sandomierza – podciągał barki z faszyną, z kamieniami, na budowę tam).

1975 r.Winnica, na łódce przy pomoście siedzą: Jerzy Wiącek i August Wiącek

Winnica, ok.1995 r. na górze były pola uprawne i ścieżki (jedną z nich można było wybrać się na spacer do Połańca)

Przychodzili tu też i ludzie z Połańca, często ścieżkami przez górę winnicką. Dzisiaj te ścieżki w większości pozarastały, a szkoda bo był tam historyczny szlak turystyczny z pięknymi widokami na Wisłę i całą okolicę (lubiłam „napawać się" tym widokiem; czasami przywoziłam tu też swoich uczniów, wędrowaliśmy przez Winnicę do Połańca, potem na Kopiec Kościuszki i ścieżką przez górę winnicką wracaliśmy na przewóz i do Glin Małych...).

Wisła niestety nigdy nie była „rzeką pokorną". Szczególnie wiosną po topnieniu śniegów, czy po dużych opadach latem, przypominała ludziom jaka potrafi być groźna. Szczególnie w latach: 07.1934 r. (mieszkańcy Winnicy obronili wprawdzie wał wiślany, ale wylała rzeka Czarna), także - 09.1974 r., następnie -07.1997 r. (znów obroniono wał na Wiśle, ale pękł wał na rzece Czarnej i woda zalała Winnicę).

No i 05.2010 r. (woda przelała się przez wał wiślany na pola i na zabudowania!). Tyle trudu, tyle ludzkiej pracy i determinacji i nie udało się obronić Winnicy!

07. 1997 r. – widok z góry na zalaną Winnicę

Tak wyglądała Winnica w tydzień po pierwszej fali wodnej

Jak widać, nie potrafimy ujarzmić Wisły, tej „Królowej Polskich Rzek". A może nie robimy tego należycie… Dokąd takie tragedie będą nękały ludzi mieszkających nad Wisłą (i tu i w całej Polsce)? A gdzie obiecywany od wielu, wielu lat most na Wiśle? Trudno się podróżuje z Podkarpacia do Połańca (i dalej…), jeśli się nie ma własnego samochodu. Władze Podkarpacia obiecują, obiecują i się wymigują…

A tak wyglądały (po tygodniu od zalania) zabudowania Jerzego Wiącka na Winnicy

Józef Korczak „Gerwazy”

AKCJE PARTYZANCKIE NA KOLONIE NIEMIECKIE W PRZECZOWIE I CZERMINIE I REFLEKSJE NAD TYM TEMATEM

W Zeszytach Połanieckich nr 17 zasygnalizowałem opis dwóch akcji partyzanckich, w których uczestniczyłem, przeciw kolonistom niemieckim w Przeczowie koło Połańca i w Czerminie, po drugiej stronie Wisły, już na terenie powiatu mieleckiego. Zanim jednak przystąpię do tematu zamieszczam krótką wstawkę o kolonizacji niemieckiej ogólnie, a nieco szerszą o Powstaniu Zamojskim, jako akcji obronnej i odwetowej mieszkańców tej ziemi, na brutalność Niemców podczas „kolonizacji” tego regionu.

Już od XII w., tj. od czasu pierwszego cesarza Niemiec - Fryderyka I Barbarossa trwała ekspansja na Wschód ówczesnych plemion Germanów, którą Fryderyk I uznał jako „cel nadrzędny”, kierując swoje wyprawy w tym kierunku i osiedlając tam swoich osadników, poza własnymi granicami. Osadnicy ci, przygotowywali plany wywiadowcze i przygotowawcze do dalszych znów aneksji terytorialnych w miarę upływu czasu i rozwoju wydarzeń. Zakon Krzyżacki (od 1228 r.), do czynnika gospodarczego i kulturowego dołączył pretekst religijny jako służbę Kościołowi i chrześcijaństwu, służąc w rzeczywistości cesarzowi Niemiec i germanizując – nie chrystianizując podbite plemiona, a oporne wyniszczając. Nasze zwycięstwo pod Grunwaldem (1410) osłabiło i pohamowało na określony czas zapędy germańskie. Czasy Bismarcka i zjednoczenie Niemiec (1870) bardzo nasiliły tę agresywną politykę zaborczości i poczucie wyższości Germanów nad Słowianami głosząc między innymi np. hasło: „Polsce wystarczą dwa woły. Jeden przed, drugi za pługiem”, starając się ironizować zdolności do samodzielnej państwowości, i taki tworzyć wizerunek Polski – dla Europy. Niemieckie woły – jak można domniemywać - podobnie do swoich „panów” – są mądrzejsze i idą razem parami – za pługiem. Czytelnik zapewne rozumie tę aluzję. Nieco później tę, ironiczną wypowiedź zmodyfikowano głosząc: „w Polsce wystarczy już tylko jeden wół, ale na szczycie”. My – Polacy, nie mamy trudności, w rozszyfrowaniu tego – w równej części prawdziwego jak i szyderczego skrótu i ciągle aktualnego. Już bowiem od początku XVIII w. (1720 r.) ówczesne Prusy i Rosja Carska w Poczdamie, podjęły zobowiązanie, że będą czynić wszystko, aby w Polsce nie doszło do naprawy stosunków politycznych i społecznych, i aby anarchia i upadek pogłębiały się – z ich aktywną pomocą – do czasu zupełnego upadku - co jak wiemy – zakończyło się rozbiorami Polski i utratą niepodległości na 123 lata. Znajomość historii potwierdza, że ta umowa nigdy nie wygasła, a okresowo uzyskiwała jej odnowienie, i poszerzanie o nowe treści np. w Pakcie Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r., a obecnie „gazociąg” na dnie Bałtyku.

Jednak dopiero XX w. ujawnił pełne znaczenie tej doktryny jako idei, a potem jako - narodowej realizowanej polityki terytorialnej z głoszonym hasłem „panowania Niemców nad Światem”. („Deutschland, Deutschland uber alles”)

W programie NSDAP (Narodowo Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotników) od 1920 r. usadowiły się, najpierw w dokumencie

i obszarze partyjnym, terminy: „narodu bez przestrzeni" (Volk ohne Raum) i potrzeby „przestrzeni życiowej" (Lebensraum), a potem zawładnęły polityką państwową i propagandą masową Niemiec. Hitler - jako wódz tej partii, w swoim manifeście politycznym „Mein Kampf", odsłonił resztę tej ohydnej i w zamyśle zbrodniczej idei głosząc – cytuję wybrane fragmenty: „Naród niemiecki i rasa germańska, jako rasa panów wobec Słowian i Żydów, ma więc prawo walczyć z tymi przeciwnikami do ostatecznego nad nimi zwycięstwa" Dalej czytamy „...Zatrzymujemy wieczny pochód Germanów na południe i zachód Europy i zwracamy wzrok ku krajom na wschodzie. …Ta ziemia na wschodzie jest dla nas pewna. Europa nie jest pojęciem geograficznym, jest to pojęcie krwi" Koniec cytatu. Dla narodów „niegermańskich" na tej mapie miejsca nie było – z zachowaniem tylko funkcji niewolniczej dla Tysiącletniej Rzeszy. Ogólny i szczegółowy plan - tego kierunku wschodniego – został opracowany w tzw. Generalnym Planie Wschodnim (Generalplan Ost). Tak przygotowana propagandowo Europa stworzyła politykom i dowódcom armii niemieckiej - zawładniętym ideą nazizmu – korzystną psychologicznie sytuację, do rozpoczęcia realizacji tego celu.

W ramach tego właśnie planu Niemcy 1 IX 1939 r., a od 17 IX tego roku już wspólnie z Rosją Sowiecką – dokonały agresji na Polskę, ustanawiając wspólną – podzieloną – Linią Cursona – okupację nad nami. Od 9 IV 1940 r. III Rzesza – znów samodzielnie – dokonała napaści na: Danię i Norwegię, potem Belgię, Holandię i Luxemburg, a także 5 VI na Francję podpisując 22 VI/40 haniebny akt kapitulacji. Wkrótce także zajęte zostały państwa bałkańskie Europy. Tak podporządkowane sobie państwa wzmocniły potencjał gospodarczy i militarny Rzeszy, i dały poczucie bezpieczeństwa z tej strony.

Bitwa powietrzna o Anglię od 8 VIII do 31 X 1940 r. nie dała oczekiwanego zwycięstwa Niemcom, między innymi dzięki wspaniałym walkom polskich pilotów.

22 czerwca 1941 r. Niemcy dokonały napaści na ZSRS (plan „Barbarossa") – łamiąc obowiązujące normy i umowy prawne. Po wstępnych – „oszałamiających Świat" sukcesach nad Armią Czerwoną nabrały przekonania, że już stali się „panami Europy". Ta pewność końcowego zwycięstwa uruchomiła – nie czekając na końcowy wynik - dalsze etapy tego „parcia na Wschód" – „Drang nach Osten" i realizację Generalnego Planu Wschodniego. Plan ten przewidywał wywłaszczenie i wysiedlenie około 50 milionów – w pierwszej fazie - Słowian: głównie Polaków (20 milionów), Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, a także Żydów na Syberię, a zawłaszczone tereny zasiedlić Niemcami, głównie z Rumunii, Besarabii i Rosji. Pierwszym obszarem tej kolonizacji stała się ziemia Zamojska, uwzględniając jej znaczenie geopolityczne i szczególnie korzystne walory tej ziemi i przyrody. Himmler - przemianował nawet nazwę – Zamość – na Himmlerstadt, dla chwały swojego imienia, której nie było.

12 Listopada 1942 r. Reichsfuhrer SS Heinrich Himmler podpisał rozporządzenie 17C o tworzeniu pierwszego okręgu przesiedleńczego w Generalnym Gubernatorstwie na Zamojszczyźnie, polecając jego wykonanie.

W nocy 27/28 listopada 1942 r. oddziały zbrojne niemieckich różnych formacji – głównie SS, obstawiły kilka wsi (Skierbieszów, Lipna Nowa, Suchodębie, Sady i Zawodzie) a obudzonym mieszkańcom polecili w ciągu - jednej godziny - spakować mały podręczny bagaż i natychmiast opuścić domostwa w wyznaczone miejsce. W dni następne podobnie postępowano z innymi osiedlami. Wywłaszczonych mieszkańców – wieziono lub pędzono - do Zamościa, gdzie odbierano im resztki zabranego ze sobą dobytku i poddano segregacji. Zdolnych do pracy wysyłano do III Rzeszy, dzieci wyrywano z objęć matek – a broniących je zabijano. Starców wysyłano za Bug. Dzieci do lat 3 rozesłano do różnych ośrodków w Generalnym Gubernatorstwie, niektóre, „zamrożono" już w wagonach z powodu ostrej zimy przed dotarciem do celu.

Dzieci od 3 do lat 6 wysyłano do Rzeszy celem ich germanizacji, zatajając ich narodowość ślady i adresy.

W miarę trwania kolonizacji narastała brutalność i bezwzględność Niemców, a wśród ofiar opór – początkowo bierny, zamieniając się w czynny z pragnieniem zemsty, jako akt wymiaru sprawiedliwości. 11 Grudnia 1942 r. Niemcy wymordowali 174 mieszkańców wsi Kitowo – zabijając ich w domach lub w masowej egzekucji na placach. Brutalność i okrucieństwo przekroczyły wyobrażenia i granice wytrzymałości ludzkiej. Dowódcy Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej, za zgodą władz Naczelnych - a także Rządu na Uchodźctwie – powiedzieli: „Dość tego!" i dali rozkaz do zbrojnej walki czynnej. Tak powstał zbrojny opór mieszkańców tych ziem przeciwko tak brutalnej „kolonizacji" – który sami Niemcy nazwali „Powstaniem Zamojskim".

30 Grudnia 1942 r. w lasach kosobudzkich pod Wojdą 130 żołnierzy I-szej Kompanii Kadrowej BCh. dowodzonej przez por. Jerzego Mara – Meyera „Visa", razem z 37 żołnierzami – radzieckimi zbiegłymi z obozów, pod wodzą kpt. Wasyla Wołodina stoczyło pierwszą jawną regularną bitwę trwająca 6 godzin, aż do czasu wyczerpania amunicji, z batalionem żandarmerii niemieckiej dowodzonej przez kpt. Biskady, liczącym 350 żołnierzy i 100 kolonistów. Zadano wrogom znaczące straty (20 zabitych, 30 rannych). Polacy ponieśli straty w liczbie 6 zabitych i kilku rannych, oraz dwóch zabitych żołnierzy sowieckich.

Cały Świat, – nie tylko Polska – dowiedział się, że Polacy znów poderwali się do jawnego zbrojnego czynu w obronie życia i godności, wobec tak deptanego człowieczeństwa i okrucieństwa łamaniem wszelkich norm moralnych, prawnych i obyczajowych w stosunku do kolonizowanej ludności, przez wynaturzonych i zwyrodniałych Niemców.

W nocy 31 Grudnia 1942/43 r. oddziały Armii Krajowej przeprowadziły około 60 różnego rodzaju akcji dywersyjnych i sabotażu na objętym kolonizacją obszarze.

W tym miejscu, z całym naciskiem należy uświadomić okoliczności, że był to koniec roku 1942 – a więc jeszcze przed przełomem toczącej się wojny – na szczycie największych zwycięstw Niemiec.

25 Stycznia 1943 r. doszło do największej bitwy odwetowej wobec zasiedlonych Niemców we wsi Cieszyn w powiecie zamojskim pod wodzą por. Franciszka Krakiewicza „Górala", w której zginęło 160 nasiedleńców, a 60 odniosło rany. Polacy zdobyli broń i amunicję, a wieś - powtarzając wzory niemieckie – spalono. 1 Lutego 1943 r. cztery kompanie BCh stoczyły bój o wieś Zaboreczno. Akcją dowodził mjr Franciszek Bartłomowicz „Grzmot" – komendant obwodu. Bitwa trwała cały dzień i zakończyła się sukcesem obrońców Zamojszczyzny przeciwko 2 kompaniom Wermachtu i zmotoryzowanemu batalionowi żandarmerii, wspomaganych przez kilkuset kolonistów niemieckich. Niemcy stracili 103 zabitych i kilkudziesięciu rannych. Nasze oddziały straciły 6 zabitych i 3 rannych. 5 lutego 1943 r. pod Lasowcami zaskoczony oddział AK, por. Piotra Złomonia „Podlaskiego" – poniósł dotkliwą porażkę. Poległo 33 żołnierzy AK, a Niemcy rozstrzelali 9 mieszkańców osiedla, które spalono.

Wymieniłem wyżej kilka najważniejszych walk tego Powstania. W niektórych udział przeciwko Polakom brały także nacjonalistyczne grupy Ukraińców. Walki te trwały do 10–12 lutego 1943 r. poczym osłabły i ucichły, aby po pewnym okresie znów je wznowić, ale też szybko i ostatecznie zakończyć jako rezygnację z realizacji kolonizacji. Zadecydowały o tym pogarszająca się sytuacja na froncie, i tak silny opór ludności Lubelszczyzny, przy dużych stratach własnych.

To był nasz wielki sukces powstańczy tego czasu, godny większego upamiętnienia.

W rezultacie Niemcy wysiedlili 297 wsi i około 110 tys. mieszkańców kolonizowanych obszarów, w tym ponad 30 tys. dzieci, które spotkał najbardziej okrutny los, o czym już wspomniałem. Tylko w walkach zbrojnych zginęło ponad 3 tys. obrońców tego obszaru i

tego czasu, kładąc jednak kres tej zbójeckiej kolonizacji – w szczególnie szczęśliwych dla nas okolicznościach frontowych.

Podobny plan „kolonizacji", w ostatnich jej stosowanych formach – miał wg kolejności spotkać mieszkańców Sandomierszczyzny. Tego losu zaoszczędził nam odwrócony bieg wojny. Wojska niemieckie i rosyjskie parły znów w zgodnym kierunku, ale już na Zachód i w odwróconym szyku. Sowieci – twarzami i lufami zwróconymi „na Berlin", a Niemcy tyłem – na „przysłowiowego raka" „parli na Zachód", też w „zwycięskim odwrocie".

Polacy w tym czasie także walczyli jako Wojsko Polskie na froncie wschodnim – razem z Armią Czerwoną, i na froncie zachodnim z koalicją zachodnią. A na froncie wewnętrznym – w Kraju – jako żołnierze Armii Krajowej na tyłach wroga.

Przechodzę do ścisłego opisu tematu - akcji partyzanckich przeciwko kolonistom niemieckim w Przeczowie i Czerminie.

Przeczów

Przeczów – leżący około 7-8 km. od Połańca w kierunku Krakowa na Zachód, był dwukrotnie atakowany przez nasze grupy partyzanckie podczas okupacji. W krótkim czasie po zakończeniu walk obronnych Polski koloniści z Przeczowa – niespodziewanie dla nas Polaków – zdziwionych tych widokiem Niemców z tej kolonii w mundurach organizacyjnych maszerujących przez Ruszczę do Połańca w czwórkach. Szli w takim szyku zapewne dla pokazania mieszkańcom okolic, że to oni teraz, są - „panami" tych ziem. Byłem w czasie tej „parady" razem z kolegami na rynku, kiedy „z górki" ulicą Ruszczańską zeszli na rynek krokiem defiladowym. Być może mieli także w planach przemarsz przez pozostałą część Połańca. Ich marsz był mało rytmiczny a także trochę dziwny i śmieszny, co skłoniło Mariana Łowickiego – późniejszego członka grupy partyzanckiej „Jędrusiów" ps. „Puszkin" - do wypowiedzenia jakiejś ironicznej uwagi tak, aby usłyszeli maszerujący koloniści. Niemcy, po usłyszeniu tej uwagi i naszego reaktywnego - na tę uwagę Mariana głośnego śmiechu, natychmiast rozproszyli się i biegli atakiem w nasza stronę. Nie czekając na kontakt z nimi - my także natychmiast – znanymi sobie wąskimi przejściami pomiędzy domami żydowskimi uciekliśmy na zaplecze tych zabudowań, bez dalszego już pościgu ze strony Niemców za nami. Niemcy także bez żadnych innych reakcji zakończyli swój defiladowy przemarsz, i powrócili w szyku marszowym do Przeczowa. Był to nasz pierwszy tego typu kontakt z Niemcami – kolonistami z Przeczowa, a miałem w tym czasie 14-ty rok życia. Dopiero po tym zdarzeniu rodzice i inni starsi ludzie poinformowali nas mówiąc: „wy nie wiecie co to są Niemcy – musicie się wielu rzeczy dowiedzieć i nauczyć". Literackie opisy z Krzyżaków Sienkiewicza czy innych powieści historycznych, stały się znów przeżywaną rzeczywistością. Od tej pory już zawsze, na widok kolonistów niemieckich – nie mówiąc o Niemcach umundurowanych, nie czekając na takie wezwanie zmienialiśmy kierunek drogi aby ominąć kontakt z nimi – myśląc swoje - a wkrótce potem wstąpiliśmy do konspiracji Polskiego Państwa Podziemnego, w tym do formacji wojskowych ZWZ, BCh, NSZ – zjednoczonych w 1942 r. w jednolitą, i pod wspólnym dowództwem – Armię Krajową (AK). W stosowym czasie zamieniliśmy opór bierny i „tajne nauczanie" – na walkę czynną. Wkrótce jednakże potem, bez smaku i radości ze zwycięstwa, poddani zostaliśmy nowemu terrorowi.

Okazało się, że koloniści z Przeczowa nie odznaczali się jakąś szczególną nienawiścią do Polaków lub działaniami zaczepnymi, w przeciwieństwie do pewnych innych koloni niemieckich – sadząc ze zdarzeń i opowiadań, poza wyjątkiem. Uczestniczyli bowiem w obławach przeciwko Żydom w ubiorach cywilnych i posługując się mowa polską, co błędnie sugerowało Żydom, jakoby ich prześladowcami i mordercami byli Polacy. Zdarzało się jednak też, że niektórzy koloniści niemieccy

informowali zaufanych Polaków o grożącym nam niebezpieczeństwie, w tym o planowanych obławach na Żydów ze strony żandarmów niemieckich. Ten temat poruszam szeroko w Zeszytach Połanieckich nr 5.

Nasze akcje partyzanckie w stosunku do takich koloni niemieckich nie demonstrowały jakiegoś szczególnie nienawistnego podłoża, oprócz stopnia wynikającego z wzajemnej sytuacji pomiędzy nami. Takie były nakazy zachowań przez nasze konspiracyjne władze, i taka też była nasza moralność, a także logika i taktyka tego czasu. Po zwycięskim ataku Niemców na państwa zachodniej i południowej Europy, rozkaz Naczelnego Wodza nr 45 z dn. 18 VI 1940 r.kategorycznie zakazał podejmowania jakichkolwiek akcji zaczepnych i prowokacyjnych wobec Niemców informując cytuję: „Wobec katastrofy Francji… wojna będzie długa", i na akcje zaczepne musimy czekać do stosownej sytuacji. Te krótkie wstawki informacyjne zamieszczam w celu lepszego rozumienia naszych konspiracyjnych działań i zachowań, zależnych od czasu i miejsca zdarzenia, w tych tak różnorodnie skomplikowanych czasach i wszechobecnego zagrożenia śmiercią.

Po sromotnej klęsce Niemiec pod Stalingradem (XI/42- 02.II/43 r.) a potem po – największej wszechczasów - pancernej bitwie pod Kurskiem (VII/43 r.) losy wojny były już przesądzone i stało się to już tylko kwestią czasu i rozmiaru tej klęski. Od tej pory rygory zakazu akcji sabotażowych i prowokacyjnych stopniowo rozluźniały się, różnie na różnym terenie. Analizowaliśmy zawsze znaczenie ewentualnego sukcesu porównując z możliwymi represjami. W tych ocenach mogliśmy popełniać nieprzewidywalne błędy z ich skutkami.

Na naszym terenie początek roku 1944, a zwłaszcza jego lato i okres akcji „Burza", to już gwałtowny wzrost licznych i różnorodnych akcji partyzanckich. Pierwsza akcja przeciwko kolonistom niemieckim w Przeczowie miała miejsce 23 lutego 1944 r. Tego dnia zakończył się I Skoszarowany Kurs Podchorążych Batalionów Chłopskich Obwodu Sandomierskiego, uroczystość którego odbyła się w Szkole Powszechnej w Tursku Małym, a ubezpieczały nas placówki miejscowe i oddział „Jędrusiów". Pierwszą lokatę zajął Mariusz Zembrzuski „Jacek", który od tej pory przejął dowództwo nad partyzancką grupą BCh - „Lotna", dowodzoną dotychczas przez Mieczysława Wałka – „Salerno". Udana akcja miała być bojowym zakończeniem naszego kursu Podchorążych, a dla „Jacka" – prymusa tego kursu - bojowym zadokumentowaniem swoich zdolności przywódczych, odwagi i umiejętności. Niestety. Los wyznaczył inny scenariusz niż był zaplanowany. „Fortel" – w stylu Zagłoby – Sienkiewicza – zwodniczy jak się okazało zakładał, że dowódca akcji „Jacek" – w mundurze oficera SS, „Salerno" – w mundurze policjanta granatowego, oraz „Czarnocha" – jako złapany rolnik oporny w dostawach kontyngentów, i woźnica pojazdu konnego „Żuraw", podjadą przed posterunek żandarmerii w Przeczowie, konnym pojazdem zaprzęgowym. Zabrany z Łubnic wójt miał potwierdzić przestępstwo przywiezionego rolnika, a jako znany żandarmom tego posterunku, miał wprowadzić bezproblemowo – czterech przebranych partyzantów – do wnętrza posterunku żandarmerii niemieckiej. Ci czterej partyzanci w odpowiedniej chwili mieli rozbroić żandarmów posterunku, i dać sygnał dla reszty grupy do dalszej akcji. Być może, już podczas zbliżania się od drogi tej grupy osób do posterunku, zaniepokoiło coś komendanta posterunku oglądając to, a być może, dopiero po wejściu tej grupy do gabinetu komendanta -wyraźnie i widocznie źle dopasowana czapka „Jacka" poinformowała żandarma, że ma przed sobą nie prawdziwego SS-mana, lecz przebranych „bandytów" - jak Niemcy określali wszystkich konspiratorów. Komendant posterunku po odkryciu tego faktu i ocenie sytuacji, bez żadnych pytań, przerwał rozpoczętą relację i bez ostrzeżenia oddał strzał w stronę „Jacka", który trafiony w szyję, upadł na podłogę. „Salerno" odpowiedział natychmiast strzałem do uciekają-

cego już żandarma, któremu, podobnie jak i towarzyszącemu drugiemu żandarmowi udało się zbiec z posterunku i ukryć gdzieś w sąsiedztwie. Być może mieli jakiś ukryty – zakamuflowany schron. Z późniejszych relacji dowiedzieliśmy się, że komendant od strzału „Salerno" został ranny. Na odgłosy strzałów wpadła do wsi przyczajona obok reszta grupy – uczestników tej akcji, i zajęli wszystkie pomieszczenia posterunku zdobywając 22 karabiny, jeden pistolet maszynowy, granaty i amunicję – ale wobec sytuacji ciężko rannego dowódcy i zdarzenia jakie miało miejsce, szybko opuścili Przeczów. Podczas powrotnego transportu rannego wałem wzdłuż Wisły, lekarz w Połańcu - konspirator - Mieczysław Bernacki polecił natychmiast ulokować rannego w szpitalu nie podejmując się żadnego zabiegu ze względu na lokalizację rany i stan ogólny rannego, oraz ze względu na brak kwalifikacji zabiegowych, sprzętu i warunków do takiej operacji. Tę samą decyzję powtórzył lekarz w Świniarach. Ze względu na widoczne miejsce i charakter rany postrzałowej ulokowanie „Jacka" w szpitalu stałoby się jednak śmiertelnie ryzykowne, bardziej, niż sama rana postrzałowa, gdyż Niemcy i szpitale regionu o zaistniałym zdarzeniu już były poinformowane. Ulokowanie „Jacka" w tej sytuacji naraziłoby go na nieuchronną śmierć – po jego rozpoznaniu - poprzedzoną okrutnymi torturami śledczymi w celu wydobycia informacji od tak znaczącego dowódcy grupy partyzanckiej. Tego należało uniknąć, i tak postąpiono. Każdy Czytelnik – bez mojego opisu - lepiej wyobrazi sobie cierpienia i zagrożenia rannego „Jacka" z sytuacji w jakiej się znalazł. W prymitywnych warunkach „na melinie" konspirator chirurg Dobkiewicz - usunął pocisk z tak niebezpiecznego miejsca, a dalszą opiekę sprawowali koledzy i kobiety z konspiracji pod nadzorem lekarskim, zmieniając często miejsca „melinowania", aby urywać ewentualny ślad za sobą i nie narażać ludzi udzielających pomocy i opieki na zagrożenie z tego powodu. Niemcy bowiem, rozpoczęli natychmiast poszukiwania napastników –w szpitalach szczególnie - ogłaszając miejsce zadanej rany i rysopisy napastników. Wszystkie służby niemieckie i konfidenci penetrowali aktywnie obszar Sandomierszczyzny, na szczęście - bezskutecznie. „Jacek" wyleczył się i przejął ponownie dowództwo nad grupą „Lotną", a jak sam z naciskiem w przyszłości podkreślał, że swoje uratowanie zawdzięcza odwadze i trosce lekarza, kolegów, cywilnych konspiratorów, członkiń Zielonego Krzyża oraz całej ludności środowisk, w których się leczył i ukrywał.

Na zakończenie artykułu zamieszczam kserokopię listu (za zgodą adresata) do Kolegów od „Jacka" z roku 2006, w którym m.in. ustosunkowuje się do tego zdarzenia.

„Jacek", jak już wiemy przeżył tę ciężką ranę postrzałową i dalej dowodził grupą, a swoje wspomnienia partyzanckie – jak mi wiadomo – opisał na około 600 stronach, lecz do dnia dzisiejszego nie opublikował z niewiadomych nam, przyczyn. Rodzą się pytania, co jest powodem tej zwłoki? i co kryją te strony? Jaka jest zawarta w nich prawda?

W opisanej wyżej akcji partyzanckiej ja udziału nie brałem. W stosunku do mnie i do brata stryjecznego Mieczysława Korczaka ps. „Chińczyk" s. Franciszka, Komendant Podchorążówki miał plany szkoleniowe, i mianował nas instruktorami II podobnego Kursu Podchorążych, na którym sprawowaliśmy te funkcje. W tej akcji na Przeczów udział brało 16 partyzantów grupy „Lotnej" BCh., którą dowodził „Jacek". Żadnych reakcji odwetowych ze strony Niemców nie było – poza wzmożonymi patrolami żandarmerii niemieckiej i konfidentów tych okolic w poszukiwaniu sprawców tego napadu, lub ich śladów czy tropów. Ale konspiratorzy tych okolic np. z Ruszczy kaprale: Stanisław Kapałka, Piotr Wójtowicz, Michał Zdziebko, a także znaczące środowisko żołnierzy AK skupionych wokół majątku Bronisława Knothe – w Ruszczy, w swoich domach już nie spali, i zaostrzyli czujność w kontaktach i swobodzie poruszania się, w myśl takich zaleceń władz konspiracyjnych, własnego rozumu i doświadczenia.

Władysław Więckowski – historyk czasów okupacji tych rodzinnych stron (Staszów) i najbliższego regionu w swojej książce pt.„Podobwód Armii Krajowej Osiek pod kryptonimem „Dąb" podaje, że w majątku w Ruszczy „na melinie" przebywał od VII 1943 r. Stanisław Ostaszewski ps. „Ostoja" – komendant tego podobwodu, do którego należał Połaniec.

Ja uczestniczyłem w drugiej akcji przeciwko kolonistom niemieckim w Przeczowie z tą samą grupą „Lotnej". W okresie tej drugiej akcji nic szczególnego się nie wydarzyło. Był to bowiem okres, kiedy Niemcy tracili już tupet i swoją butę, a niektórzy już nawet pod różnymi pretekstami opuszczali miejsca swoich koloni, co później stało się takim nakazem formalnym ewakuacji, ale – już nie na Wschód, lecz na Zachód. Sam przebieg akcji był typowy i bez niespodzianek w nowo zaistniałej sytuacji.

Po opanowaniu zabudowań Przeczowa rozdzieliliśmy się do różnych gospodarstw. Ja z „Sokołem", odczekaliśmy trochę przed drzwiami wejściowymi wybranego domu - w zupełnej ciszy i nasłuchu. Żadnych oznak toczącego się w nim życia nie było słychać. Nawet psy nie szczekały – bo ich już nie było. Po krótkotrwałej obserwacji otoczenia przed drzwiami, „Sokół" – okazałej budowy, siły i odwagi też – przyłożył swój potężny bark do drzwi i nagłym pchnięciem spowodował ich otwarcie. W izbie świeciło się jakieś słabe światło ale nie było żadnych osób. Być może gdzieś się ukryli, albo już wcześniej opuścili dom. Po powierzchownym obejrzeniu mieszkania opuściliśmy ten dom i dołączyliśmy do kolegów z sąsiednich zabudowań, którzy dokonali podobnych wtargnięć, znajdując tylko nielicznych mieszkańców, bez żadnego oporu czy protestu z ich strony. W jednym mieszkaniu znaleziono karabin, być może pozostawiony dla wprowadzenia nas w błąd, aby nie szukać więcej. Ogólnie mówiąc nie mieliśmy żadnej, znaczącej zdobyczy, ani satysfakcji partyzanckiej – poza faktem udziału w tej akcji i znaczenia psychologicznego. Większość kolonistów była gdzieś ukryta lub ewakuowana, nie było także widocznych wartościowych przedmiotów. Bez żadnego szczególnego wydarzenia, zwłaszcza porównując z akcją poprzednią. Ale funkcja terrorystyczna przeciwko kolonistom niemieckim – napełnionych już i tak strachem - bez aktów fizycznych przeciwko nim – została spełniona, a Rodakom podniosła ducha i dała informację, że zbliża się już czas oczekiwany.

Podobnie w lipcu 1944 r., już z grupą Mariana Lecha ps. „Marian" – do której zostałem skierowany przez komendanta Podchorążówki, po zakończeniu drugiego kursu Podchorążych, uczestniczyłem w podobnej akcji przeciwko kolonistom niemieckim za Wisłą – na terenie powiatu mieleckiego – we wsi Czermin.

Zdobyliśmy tam od kolonistów, którzy jeszcze nie zdążyli wyjechać na takie polecenie władz niemieckich, kilka wozów konnych przygotowanych do ewakuacji, w bagażu których znaleziono między innymi 7 karabinów i amunicję. Żadnej walki ani prób oporu z ich strony, czy jakiś szczególnych wydarzeń nie było. Wszyscy Niemcy żyli już w wielkim przerażeniu rozwojem sytuacji na froncie, a większość mieszkańców Czermina zdążyła się ewakuować poprzedniego dnia. Dlatego też nie poświęcam więcej czasu opisowi tej akcji, aby nie nudzić Czytelnika powtórzeniami, lub nieistotnymi szczegółami, ale pokusiłem się o próbę krótkiej analizy i własnych rozważań na ten temat.

To szkicowe przypomnienie kolonizacji od czasów I cesarza Niemiec – Fryderyka I Barbarossy potwierdza, jak trwałym i nieustępliwym dążeniem była ciągła ekspansja od wieków skierowana na Wschód, jej różnorodność stosowanych form warunkowanych okolicznościami i dojrzewaniem ich skrywanego planu do eksterminacji włącznie.

W okresach niesprzyjających, czy mało jeszcze rozpoznanych i przystosowanych stosowano taktykę zachęt gospodarczych, kulturowych czy politycznych. Gdy pojawiły się możliwe korzyści – w tym pomoc zbrojna

rycerstwa zachodniego – pod hasłem chrystianizacji Europy jeszcze nie ochrzczonej, ten aspekt religijny włączono do swojej polityki germańskiej dając to przesłanie Zakonowi Krzyżackiemu, który służył wiernie cesarzowi Niemiec, a nie Bogu, ani Polsce. Było to jednoznaczne z działalnością antypolską - antysłowiańską. Podobnie, w okresie hitleryzmu, kiedy motyw religijny mógł ułatwić III Rzeszy w oczach opinii Europy i Świata – realizację planów Hitlera, czynnikowi walki z komunizmem nadano rolę pierwszoplanową i propagandową, kokietując i Polskę do włączenia się do tego bloku antykomunistycznego, co jak wiemy, Polska kategorycznie odrzuciła. Na sprzączkach pasów żołnierskich Wermachtu umieszczono hasło „God mit uns" – Bóg z nami – zamiast umieścić napis „szatan z nami" lub inny „demon". Szatan – jak wiemy jest symbolem wszelkiego zła, kłamstwa i okrucieństwa, pychy i próżności, ale też skrytości i obłudy w swoim postępowaniu i stosowaniu różnych upiększających i mylących przynęt obrazu, a maskujących prawdziwy, nikczemny zamysł.

Niemcy, po dokonaniu zwycięskiego zaboru nad pokonanymi, w najbardziej brutalny i jawny sposób łamali wszelkie stanowione prawa – Boskie i ludzkie - a także zwyczajowe, przyjęte i respektowane przez różnorakie kultury. Bardziej brutalni okazali się Sowieci.

Obydwa systemy totalitarne uznawały doktrynę, nawet wobec własnych Narodów: „kto nie z nami ten przeciwko nam", skazując opornych na zagładę. Niemcy – drogą kominów krematoryjnych, Sowieci „kulą w potylicę". Jedni i drudzy stosowali równocześnie także inne znane metody zadawania śmierci, indywidualnej czy grupowej, a ludobójstwo masowe realizowali przez głód i ciężką pracą fizyczną, przekraczającą ludzką wytrzymałość – aż do śmierci „ze zmęczenia". Aż, „praca uczyniła ich wolnym". Ten właśnie szatański i cyniczny napis „Arbeit Macht Frei" był – i pozostał jako - Pamięć – na bramie wejściowej do wrót piekła ziemskiego w Auschwitz – Birkenau – (Oświęcim).

My – Polacy, jako Naród i Państwo na całym swoim obszarze poddani byliśmy tym wszystkim formom represji, aby uzyskać zniewolenie i panowanie nad nami.

Nazizm hitlerowski, pokonany został nie dlatego, że był aż tak nieludzki i okrutny, lecz dlatego, że pragnąc jedynowładztwa narodowego - zaatakował drugi totalitaryzm – komunistyczny – mający te same cele i pragnienia – władania Światem i jego zniewolenia.

Klęska III Rzeszy i zakończenie II wojny światowej zmieniła mapę polityczną Europy i Świata, a także układ sił i konfiguracje militarne. Wydawać by się mogło, że dokonała się też istotna i trwała zmiana w mentalności ludzkiej i w zachowaniach po tym, co ujawniła ostatnia wojna. A jednak, to okazało się szybko złudą i pragnieniem tylko ludzi rozumnych, wolnych i dobrej woli. Pokonany został nazizm hitlerowski – lecz jego miejsce w locie – jak w sztafecie - przejął jeszcze bardziej perfidny i ludobójczy - niewolniczy totalitaryzm stalinowski, powiększając obszar geograficzny i etniczny swojej niszczycielskiej działalności.

Na konferencji pokojowej w Poczdamie (17 VII do 02 VIII/45 r.) H. Truman (nowy prezydent USA po śmierci Roosvelta) i W. Churchill oddali Polskę „w strefę wpływów" czyli zniewolenia pod opieką Stalina, popełniając białą – „pokojową" – zbrodnię wielonarodowego zniewolenia Polski i innych Narodów Europy Środkowej, którą Stalin metodycznie zamieniał na krwawą, a – dla opornych – ponad 100 mln. ofiar - śmiertelną.

Nie było w dziejach ludzkości tak okrutnej i krwawej – masowej formy jednoczasowego zniewolenia na tak rozległym obszarze geograficznym i etnicznym.

Pół wieku trwał terror, niszczenie i wynaradawianie podbitych Narodów „w radosnym spełnianiu i szerzeniu szczęśliwego komunizmu" – czytaj krwawego serwilizmu. Liczne próby zmiany tego układu kończyły się represjami i terrorem wobec śmiałków takiego czynu. Dopiero zryw „Solidarności Polskiej" i jej wielkość - około 10 milionowej masy ludzkiej - przeraził „władze" - też na krótki czas.

Tyran zadrżał i „popuścił"
Cugle władzy i poddaństwa
Na rzecz nowego oszukaństwa.
Lecz powrócił znów do mitu
„Globalnego dobrobytu"
A zaczął – od deficytu
[autor nierozszyfrowany]

Nurt niepodległości i wolności – prawa i sprawiedliwości, znów został zahamowany, zdeformowany i zepchnięty na tor boczny.

Ten przelot po zdarzeniach, hasłach, datach i totalitaryzmach - hitlerowskim i stalinowskim – ma przypominać nam, jak przez stulecia Polska – była w objęciach granic i zachłanności naszych silnych sąsiadów – zawsze nam wrogich i zawsze ze sobą – przeciwko nam. O swoją tożsamość i suwerenność musieliśmy ciągle walczyć z zaborami, germanizacją i rusyfikacją, a potem z sowietyzacją.

Jednak zaledwie dwa lata wystarczyło, abyśmy po 123-letniej nieobecności naszej państwowości, byli zdolni do zadania ciosu militarnego w 1920 r. najliczniejszej i najsilniejszej – milionowej – ówczesnej Armii Czerwonej – „zbrojnego ramienia komunizmu". Zwycięstwem tym uratowaliśmy nie tylko naszą Ojczyznę, przed zalewem zła i niszczenia, ale i Zachodnią Europę, która nie umiała zrozumieć wówczas, ani do dzisiejszego dnia nie ogarnia ofiarowanej jej wtedy wolności i jej wartości.

Rozumiemy, że pokonani Sowieci w wojnie polsko-bolszewickiej nie mogli uznać heroizmu tego wyczynu militarnego w 1920 r. całego Narodu Polskiego, geniuszu Piłsudskiego i bohaterstwa Jego żołnierzy. Ale jakim ograniczeniom poddany był wtedy Zachód, że wyczynu tego nawet w przybliżeniu nie umiał ocenić wtedy i jego przyszłego znaczenia. Potęgę i groźbę odrodzonego Wojska Polskiego należycie ocenili pokonani przywódcy sowieccy. Dlatego sprawców przerwanego ich pochodu na Zachód i zadanej im klęski – oficerów Wojska Polskiego i całą elitę intelektualną Polski wymordowali w zespole umownym obozów Katynia, bez żadnej procedury i ustalania winy, orzekając tylko zagrożenie, jakie stanowili dla sowieckiej Rosji – nawet jako pokonani – i w niewoli.

Te fakty wymagają ciągłego analizowania i przemyślenia dla unikania błędów w przyszłości.

Warszawa, l0 stycznia 2006 r.

Kochani Koledzy !

Nawet sobie nie wyobrażacie, ile radości sprawiły mi Wasze świąteczne życzenia. Tyle lat minęło, świat tak bardzo się zmienił i nagle dostałem sygnał, że jeszcze żyję w ludzkiej pamięci. Dziękuję! Tylko na miłość boską nie używajcie takich wielkich słów jak „bohater". Czy „spełnienie podstawowego obowiązku wobec Ojczyzny", która była w potrzebie, to bohaterstwo? Robiłem wszystko to, co robiło tysiące innych młodych ludzi. Tak byłem przed wojną wychowany, że pomagać Ojczyźnie w potrzebie, to nawet nie tylko obowiązek, ale i zaszczyt. Gdy po wysiedleniu z ciechanowskiego w 1940 r. znalazłem się na pięknej i gościnnej Ziemi Sandomierskiej, pragnąłem całą duszą włączyć się do pracy nad oswobodzeniem Ojczyzny. Spotkałem ludzi takich jak Jerzy Zaleski, Leon Cieśla i Jan Dembowski[1], którzy mi wskazali właściwą drogę rzeczywistej pracy dla Polski przez pomoc w tworzeniu pierwszy raz w naszych dziejach armii chłopskiej. Przedwojenna Polska nie była dla chłopów troskliwą matką, ale często bywała macochą. Dwory i kler patrzyły na chłopów, których było wszak około 70%, z dystansem albo z pogardą. Poderwać chłopów do walki o Polskę, to było zadanie pierwszoplanowe . Swoją rolę odgrywały tu uniwersytety ludowe Solarza, Wici i Siew oraz tacy patrioci jak Witos, Rataj i Mikołajczyk. A i w sandomierskim nie brakowało świadomych działaczy ludowych, takich jak Wrzosek z Romanówki, bracia Smołowie, „Soplica" z Radoszek, Wroczek z Krzcina, Kucwaj ze Świniar lub Felek Kołacz i wielu innych. Ponieważ miałem dobre przygotowanie wojskowe, początkowo powierzono mi

zadanie instruktora wyszkoleniowego na pomocnych gminach. To była wiosna 43 r. Był to ciężki okres dla mnie, w obcym i nieznanym terenie, bez broni, bez dokumentów i znajomości, bez dachu nad głową i środków do życia. Trudy wynagradzał mi obserwowany zapał młodych ludzi, których ćwiczyłem, i wiara w słuszność sprawy. Udało mi się namówić Leona do utworzenia pierwszego oddziału partyzanckiego BCh., który powstał l września 1943 r. w Piórach pod Połańcem. Początkowo było nas czterech, dowodził Borkowski „Piorun". Początki były nieudane, bardziej byliśmy podobni do bandy z Dzikiego Zachodu niż do patriotycznej partyzantki. Po kilku tygodniach oddział się rozleciał, zostałem tylko ja z Żurawiem i nam przypadła smutna rola rozbrajania swojego pierwszego dowódcy, który potrafił tylko pić i robić groźne miny. Potem dowodzili Salerno i Bojki. Oddział na nowo zaczął działać, ale niestety pijaństwo pozostało. Ja, od października 43 r. kropli wódki nie brałem do ust. Było to ślubowanie po zastrzeleniu „Krwawego Edka". Kierownictwo skierowało mnie do pierwszej bechowskiej podchorążówki, gdzie spotkałem się z wieloma wspaniałymi kolegami. Po ukończeniu szkolenia z pierwszą lokatą z rozkazu Leona przejąłem dowództwo oddziału LSB, który nazywany był „Lotna". Dostałem polecenie, aby w krótkim czasie zrobić z tych resztek prawdziwy, zdyscyplinowany oddział, z którego ludzie po wsiach i cały ruch ludowy mógłby być dumny. Zaczęło się drakońskie szkolenie i żelazna dyscyplina, ale po pewnym czasie oddział był wzorowy i gotów do wykonania każdego zadania. Byliśmy dobrze uzbrojeni (tylko w broń zdobyczną), umundurowani, mieliśmy 4 wozy taborowe i 8 koni kawaleryjskich. Obowiązkiem naszym nie była otwarta walka z armią niemiecką, bo takie zadanie byłoby szaleństwem, ale ochrona interesów wsi w terenie: niszczenie spisów kontyngentowych i spisów na wywózki na roboty, tępienie bandytyzmu, pijaństwa, kolaboracji i fraternizacji z okupantem, a także zakładanie komitetów wsparcia dla tajnego nauczania. Dla uzyskania większej swobody działania porozbrajaliśmy wszystkie posterunki żandarmerii w terenie. W jednej z takich akcji w Przeczowie zostałem ciężko ranny, a właściwie zabity, bo lekarz w Połańcu nie chciał mnie bandażować i dwukrotnie stwierdził zgon. Była to tylko śmierć kliniczna[2].

Wtedy na własnym przykładzie poznałem siłę, solidarność i patriotyzm ruchu ludowego w sandomierskim. Co dwa dni przewożono mnie półprzytomnego z jednej kwatery na drugą, bo poszukiwali mnie postawieni na nogi wszyscy szpicle. Przyjęcie mnie na kwaterę groziło śmiercią dla gospodarzy, a może i spaleniem całej wsi. Wszyscy jednak pospieszyli mi z pomocą, narażając siebie i swoich bliskich. Operacja trwała prawie miesiąc, a nie było ani jednego przypadku zdrady lub donosu. To było prawdziwe bohaterstwo ze strony tych ludzi, którzy dali oczywisty dowód patriotycznego poświęcenia i solidarności. Często były to zwyczajne rodziny chłopskie, nawet nie związane organizacyjnie z BCh., a nawet rodziny organizacyjnie związane z AK.

Patrząc wstecz na swoją działalność partyzancką, mam tę satysfakcję, że przez swoje działania nigdy nie naraziłem wsi polskiej na krwawe represje ze strony okupanta, które tylekroć miały miejsce na naszym terenie. Ginęli czasami żołnierze, bo taki był ich los, ale nigdy cywile. A teren to był rozległy: od Zawichostu po Pacanów, od zamku w Baranowie po pałac w Ujeździe, wydeptaliśmy wszystkie dróżki i ścieżki. Pod koniec „Lotna" liczyła przeszło stu ludzi. Było w niej dziewięciu Rosjan, którzy uciekli do nas z obozu w Baranowie, był nawet jeden Niemiec – Alzatczyk, który miał dość służby Hitlerowi. W oddziale panowała wspaniała atmosfera i pełne zaufanie. Działać mogliśmy skutecznie tylko dzięki pomocy i poświeceniu wsi sandomierskiej. Po wkroczeniu Armii Czerwonej zostałem ujęty przez NKWD na kwaterze w Zalesiu, gdzie leczyłem rany i po wielogodzinnym procesie zostałem skazany na śmierć. Na dwie godziny przed rozstrzelaniem dzięki podstępowi pani Jadwigi Za-

leskiej udało mi się uciec. I wtedy po raz drugi doznałem wielkiej solidarnej pomocy ze strony sandomierskich chłopów. Mimo że byłem poszukiwany i śledzony przez NKWD, nikt nie odmówił mi pomocy, ani nikt mnie nie zdradził. Przeciwnie, stale byłem ostrzegany przez chłopców z „Lotnej", których część z „Salerno" była w MO. Ten parasol wiernych żołnierzy pozwolił mi nawet zrobić maturę w Tarnobrzegu, a potem ukończyć studia na UJ w Krakowie, dokąd też przyjeżdżali specjalni wysłańcy, aby mnie uprzedzać o krokach podejmowanych przeciw mnie przez władze bezpieczeństwa. Nawet już w latach sześćdziesiątych jeden z dawnych żołnierzy „Lotnej", a wówczas płk. Informacji przyjechał do mnie, aby ostrzec przed grożącym mi niebezpieczeństwem ze strony członka Biura Politycznego. To wszystko dowodzi, jaka silna więź łączyła byłych żołnierzy „Lotnej", którzy mimo całkowitej zmiany warunków wewnętrzną solidarność i braterstwo stawiali ponad wszystko. Takie były konsekwencje obudzenia ducha narodowego i pełnej świadomości chłopskiej dzięki Batalionom Chłopskim. Nie złamały nas żadne zabiegi reżimu stosowane poprzez ludzi typu Maślanka, Ozga-Michalski czy Wiślicz, którzy fałszywie podszywając się pod BCH, w rzeczywistości chcieli zniszczyć prawdziwe patriotyczne korzenie ruchu ludowego. Dziś, po tylu latach, kiedy miałem możność dość dobrze poznać cała Polskę, a nawet w znacznej części i Europę, jak sobie pomyślę, gdzie jest moja ojczyzna, to widzę ją zawsze na lessowych polach i w wąwozach pięknej Ziemi Sandomierskiej. Gdyby mi było dane jeszcze raz przed śmiercią tamte tereny zobaczyć, byłbym w pełni szczęśliwy.

Ja wiem, że świat się radykalnie zmienił. Mamy teraz zawsze mi obcy kapitalizm. Nie o taką Polskę walczyliśmy, ale świadomość wielkiego ruchu ludowego pozostaje. Wprawdzie teraz rolnicy bardziej są zajęci staraniem się o dotacje z Unii Europejskiej niż wspominaniem przeżyć ich ojców i dziadków, ale to tym większa rola Związku, aby młodzieży przypominać o dawnych trudach i walce ich przodków. Wybaczcie, że tak się rozpisałem, ale to jest jednak tylko mały fragment wiedzy, którą posiadam z tamtych lat i która już niedługo odejdzie razem ze mną – śladem moich towarzyszy walki, którzy żyją i żyć będą tylko w moich serdecznych wspomnieniach. Serdecznie pozdrawiam!

Jacek

PS. Przepraszam, że taki list od serca piszę na komputerze, a nie ręcznie, ale ślepota, która mnie trapi, i drżenie rąk nie pozwalają mi już na inną formę.

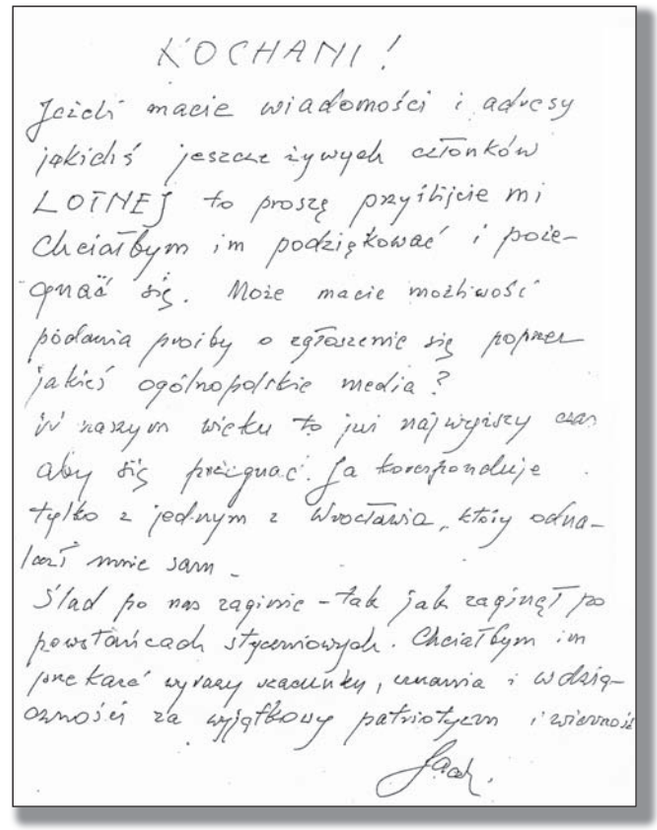

KOCHANI!

Jeżeli macie wiadomości i adresy jakichś jeszcze żywych członków LOTNEJ to proszę przyślijcie mi Chciałbym im podziękować i pożegnać się. Może macie możliwości podania prośby o zgłoszenie się poprzez jakieś ogólnopolskie media? W naszym wieku to już najwyższy czas aby się przeguać. Ja korespondowałem tylko z jednym z Wrocławia, który odnalazł mnie sam.

Ślad po nas zaginie - tak jak zaginął po powstańcach styczniowych. Chciałbym im przekazać wyrazy uznania i wdzięczności za wyjątkowy patriotyzm i wierność

Jacek.

List od Jacka

1. Wymienione w liście nazwiska odnoszą się do działaczy konspiracji ludowej. Leon Cieśla był komendantem BCH obwodu sandomierskiego, ps. „Poświst". Zginął w Gross-Rosen. Jan Dembowski „Kłos" to organizator Ruchu Ludowego i BCH, a Mieczysław Wałek „Salerno" był dowódcą grupy partyz. BCH. Przyp. – Józef Korczak.

2. Negatywna opinia o lekarzu z Połańca, Bernackim, wynika z niewłaściwej oceny sytuacji dokonanej przez „Jacka". Jego rany nie mogła być opatrywana w Połańcu, gdyż nie było tam możliwości zatamowania ewentualnego krwawienia. Skrzep, jaki powstał w ranie, był najlepszym „opatrunkiem" (jak każdej zresztą rany), który zapewnił „Jackowi" możliwość przeżycia długiego transportu pod Sandomierz, gdzie ranny został zoperowany. Przyp. – Józef Korczak.

Józef Korczak „Gerwazy”

ŚMIERĆ KSIĘŻY BRACI: STEFANA I KAZIMIERZA GRELEWSKICH ORAZ BRACI: EUGENIUSZA I EDMUNDA JARZYNÓW Z RĄK OPRAWCÓW NIEMIECKICH

Historia Połańca - miejsca mojego urodzenia - interesuje mnie bardzo, a szczególnie lata okupacji i wszystko to, co ważnego wydarzyło się w tym czasie. W tym artykule wspomnieniowym opisuję wydarzenie bardzo tragiczne i bolesne dla wszystkich mieszkańców Połańca, nie tylko dla ofiar i rodziny opisywanej zbrodni niemieckiej. Asumptem bezpośrednim do opisu tego zdarzenia, wcześniej niż planowałem, stał się odbyty w Połańcu i w Rytwianach zjazd spotkaniowy rodów: Grelewskich i Jarzynów.

Błogosławieni Męczennicy Radomscy.
Mal. art. plastyk Wojciech Wdowski z Radomia.

Nie jestem członkiem żadnego z ww. rodów, lecz wątek historyczny i jego znaczenie, stały się powodem chęci zapoznania z nim Czytelników Połańca i naszych okolic.

Jako mieszkaniec Połańca uczestniczyłem w ceremonii kościelnej tego zjazdu we Mszy św. – otwartej dla wszystkich wiernych – jaka odbyła się l maja w kościele pw. św. Marcina. Wystrój kościoła i nastrój całego nabożeństwa był bardzo podniosły. Mszę św. celebrowali proboszcz ww. parafii ks. Jan Wamyj, wspólnie z proboszczem parafii pw. MBWW ks. Witoldem Dobrzańskim.

Głównym celem – obok znaczenia liturgicznego – tej uroczystości było zapoznanie słuchaczy z postaciami i działalnością księży – Kazimierza i Stefana Grelewskich, a także odsłonięcie w kościele upamiętniającej płyty pamiątkowej na ich cześć i pamięć, z tytułu działalności i rodzaju zadanej im śmierci przez okupantów.

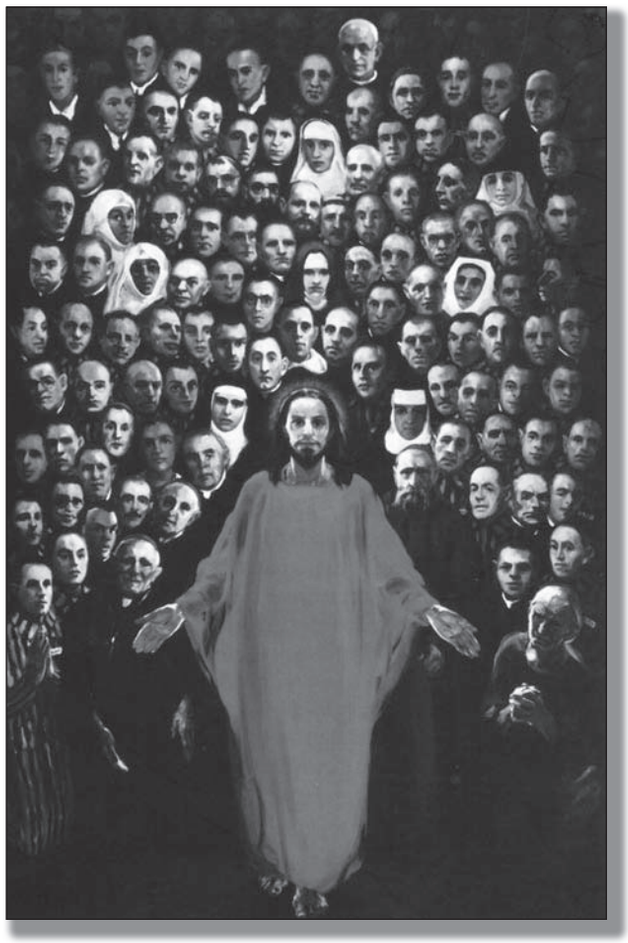

Błogosławionych 108 Męczenników

Rodzicami wyżej wymienionych byli małżonkowie Grelewscy – Michał i Eufrozyna z domu Jarzynów – mieszkańcy Połańca, którzy po zakupie młyna przenieśli się i zamieszkali w Dwikozach. Tam urodzili się Stefan w 1898 r. i Kazimierz w 1907 r. W swojej homilii ks. Jan Wamyj bardzo dokładnie przedstawił uczestnikom tego nabożeństwa życiorysy ks. Kazimierza i Stefana, ich działalność duszpasterską, społeczną i charytatywną. W tym artykule, ze zrozumiałych powodów ograniczam ten rodzaj działalności do treści i rozmiarów wskazanych dla Czytelników, a dołączam także i naświetlam nieco polityczne tło tych lat i zdarzeń.

Błogosławiony Kazimierz Grelewski

Życiorysy księży Kazimierza i Stefana były bardzo podobne, chociaż różnica wieku pomiędzy nimi była znacząca. Młodszy ksiądz Kazimierz, jakby podążał śladami starszego brata – w odstępach swojego wieku. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości obydwaj wstąpili do Seminarium Duchownego w Sandomierzu, a po święceniach kapłańskich obydwaj podjęli pracę w Radomiu. Jako duchowni charakteryzowali

Błogosławiony Stefan Grelewski

się wielką gorliwością w pracy duszpasterskiej i społecznej, a także patriotycznej, np. w pracach agitacyjnych podczas plebiscytu na Śląsku, i w powstaniu śląskim – a także w pracy społecznej z emigracją polską, podczas pobytu we Francji (ks. Stefan).

Obydwaj współpracowali także ze Związkiem Robotników Chrześcijańskich w Ostrowcu i z Zarządem Obwodowego Funduszu Bezrobocia w Radomiu, w okresie kryzysu ekonomicznego. Opiekowali się także sierocińcami i domami opieki dla starców.

Wojna w 1939 r. zastała obydwóch księży w Radomiu. Ks. Kazimierz został nawet mianowany rektorem kościoła garnizonowego pw. św. Stanisława w Radomiu, po opuszczeniu tego stanowiska przez dotychczasowego kapelana wojskowego, na taki rozkaz. Obydwaj księża w tym okresie aktywnie pomagali polskim jeńcom przebywającym w obozach dla jeńców pod Radomiem, zbierając dla nich żywność i odzież, a także pomagając im radą i pomocą w ewentualnych zwolnieniach z obozu. Po akcjach odwetowych Niemców – za działalność „Hubalczyków" Niemcy spacyfikowali kilka wsi, mordując mieszkańców Skrobowa, Stefankowa i Gałek w ilości 265 osób – głównie mężczyzn, pozostawiając wiele samotnych kobiet i osieroconych dzieci – bezdomnych i bez środków do życia. Nad tymi ofiarami opiekę przejmowali księża Grelewscy i udzielali możliwej im pomocy. Podobnie, po rozstrzelaniu 145 zakładników – w lasach podradomskich w Firleju, opiekę nad rodzinami ofiar znów – między innymi, prowadzili Kazimierz i Stefan Grelewscy. Poza wyżej wymienioną działalnością obydwaj zaangażowali się aktywnie w „tajnym nauczaniu". Ks. Stefan uprawiał także publicystykę i dziennikarstwo, a także badania naukowe, wydając książkę

Portrety Błogosławionych przy ołtarzu
w kościele p.w. św. Marcina

pt. „Wyznania protestanckie i sekty religijne w Polsce współczesnej". To potwierdza jak szeroki i różnorodny był zakres ich działalności.

Ta aktywność społeczno-patriotyczna – niezależnie od religijnej – sprowokowała szczególny i wzmożony nadzór nad ww. ze strony Niemców.

Mszę św. odprawiali księża
Jan Wamyj i Witold Dobrzański

27 Września 1940 r. było pierwsze krótkotrwałe aresztowanie ks. Kazimierza, być może, mające na celu pozyskanie nowych adresów i kontaktów, po jego zwolnieniu i wzmożeniu śledczego nadzoru.

Pozwalam tu sobie na przypomnienie charakteru i znaczenia wojskowego Radomia dla

obronności naszego Państwa. W Radomiu, jak i w całym Centralnym Okręgu Przemysłowym – w którym Radom miał jedno z najważniej-

Ks. Jan Wamyj poświęcił tablicę upamiętniającą Błogosławionych

szych znaczeń, były zlokalizowane różne dziedziny przemysłu zbrojeniowego. Dlatego też penetracja wywiadów obcych tego terenu była szczególnie nasilona. Niemcy po zajęciu Polski – podobnie jak i Sowieci – do informacji już posiadanych dołączyli wyniki obserwacji bieżących i wynikających z tego wnioski.

Nocą 24 I 1941 r. – była to „czarna noc" dla mieszkańców Radomia – ks. Kazimierz został aresztowany przez Gestapo. Razem z nim aresztowany został także i jego brat ks. Stefan i przypadkowo obecny z nimi ks. Józef Sznuro. W tym samym czasie – jednocześnie – dokonano bardzo licznych aresztowań – łącznie 335 osób, głównie inteligencji – jest to zwana Lista inteligencji radomskiej przeznaczonej do zagłady – i osób związanych z przemysłem zbrojeniowym, w ogóle osób znaczących w tym regionie. W tej grupie był także aresztowany połańczanin – Marian Wojciechowski – zamieszkały w tym czasie w Radomiu – znaczący działacz Spółdzielczości Radomskiej, a także konspirator. Po wielokrotnych zmianach obozów pracy miał szczęście przeżyć okupację, a po oswobodzeniu przez wojska amerykańskie zamieszkał w USA i żyje tam do dnia dzisiejszego. Pracował w różnych instytucjach, współpracując zawsze także z Polonią amerykańską. Manifestował na tym terenie swój głęboki patriotyzm i głosił taką potrzebę w swoim środowisku. Często odwiedzał Polskę. Jest członkiem Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu. Nie utracił ducha rodzinnego ani patriotycznego, pomimo tak długiego przebywania na obczyźnie.

Wstępne śledztwo aresztowanych w Radomiu było prowadzone w areszcie Gestapo przy ulicy Kościuszki 6, a następnie w wiezieniu w Skarżysku Kamiennej, skąd część osób –głównie kobiet – zwolniono. Oddawana do prania rodzinom bielizna aresztowanych była zbroczona krwią, co świadczy o sposobach śledztwa. Wyjazdowy Sąd Polowy w Skarżysku Kamiennej skazał 290 osób na karę śmierci, przenosząc jej wykonanie do obozu śmierci w Auschwitz – Oświęcim dokąd zostali niezwłocznie przewiezieni. Już następnego dnia, pomiędzy blokami nr 14 a 17 rozstrzelano 25 osób, a resztę wcielono do karnej kompanii pracy, w której szybko wszyscy, różnymi metodami, byli uśmiercani. Z tej grupy radomskiej inteligencji tylko dwaj ww. księża: Kazimierz i Stefan Grelewscy zostali

przewiezieni do obozu karnego w Dachau, który był przeznaczony dla osób duchownych. Tam obydwaj dopełnili reszty skazanych „listą radomską" na śmierć. Dla księdza Stefana przeznaczono „śmierć głodową". Po wielu dniach głodówki 9 maja 1941 r. – z wycieńczenia – zmarł ks. Stefan w szpitalu obozowym „na rękach swojego brata". Ks. Kazimierz w liście do swojej matki napisał: „Stefcio umarł na moich dłoniach"

Ks. Kazimierz został powieszony 9 I 1942 r., przy kuchni obozowej obok dwóch innych duchownych, z których jeden – ks. Józef Pawłowski był rektorem Seminarium Duchownego w Kielcach. Jak podają świadkowie, ks. Kazimierz do swoich katów – przed egzekucją – zaapelował wołając: „Kochajcie Pana Boga!".

To wezwanie – „Kochajcie Pana Boga" znajduje się także na płycie pamiątkowej, którą od-

słonięto i poświęcono w kościele, na zakończenie tej uroczystości w Połańcu.

Dnia 13 czerwca 1999 r. – podczas swojej duszpasterskiej wizyty w Warszawie – papież Jan Paweł II ogłosił publicznie nadanie godności – Błogosławionego Męczennika Kościoła, dla księży Stefana i Kazimierza Grelewskich – w grupie 108 Męczenników za Wiarę w Polsce w okresie II wojny światowej. Do tej grupy Męczenników z Radomia należą także: Błogosławiony ks. Franciszek Rosłaniec, Błogosławiony ks. Bolesław Strzelecki i Błogosławiony ks. – Kazimierz Sykulski.

Uczestnicy zjazdu rodzinnego Grelewskich i Jarzynów

Jako ówczesny mieszkaniec Warszawy uczestniczyłem i przeżywałem tę uroczystość z tysiącami Polaków z całej Polski, a także z zagranicy, w wyjątkowym nastroju, przy pięknej pogodzie.

Nie były to jednak wszystkie ofiary tych rodzin z lat okupacji.

14 IX 1943 r. dotarła do nas konspiracyjna informacja ostrzegająca, że do Połańca wybierają się jutro Niemcy, z zaleceniem szczególnej ostrożności. Wieczorem tego dnia spotkaliśmy się na starym moście nad rzeką Czarną, w grupie 8 może l0 kolegów. Byli w tej grupie Marian i Władysław Lańka, Józef i Czesław Kucharscy, Antoni Warchałowski, i na pewno był także Eugeniusz Jarzyna – reszty nie pamiętam. Rozmawialiśmy do późnych godzin, przeplatając rozmowy czasami śpiewem. Wieczór był piękny, ciepły, prawie pełnia księżyca, a więc widny. Około godziny 23, być może był to Józef Kucharski, powiedział – no panowie idziemy każdy do swojej meliny, bo nie wiadomo, co będzie jutro.

Zwróciłem się wtedy do Gienka Jarzyny, mówiąc – jeśli chcesz, chodź ze mną, mam w Rudzie (3–4 kilometry od Połańca) dobre spanie na sianie. Gienek odpowiedział, że nie może ze mną iść, bo wcześnie rano musi jechać do Niedziałek po mąkę – do piekarni ojca. Zdążę wyjechać przed przyjazdem Niemców – dodał. Rozstaliśmy się każdy w swoim kierunku. Do mojego domu z mostu miałem około 200 metrów. Przeszedłem tylko obok niego, wiedząc, że śpią w nim tylko rodzice i dwie siostry, a trzej bracia śpią każdy w innym miejscu. Przyśpieszyłem kroku, idąc skrótami do Rudy, gdzie jednak, wobec ostrzeżenia, poszedłem spać nie do znanej stodoły, lecz w oddaleniu od zabudowań w ziemniakach, z podłożeniem siana. Szybko zasnąłem – po kilkukilometrowym marszu pod pięknym i spokojnym niebem. Jeszcze przed wschodem słońca obudziły mnie strzały krótką serią, powtórzone po przerwie, co zorientowało mnie o kierunku tych odgłosów ze strony Połańca. Już nie zasnąłem. Sprawdza się ostrzeżenie. Na odgłos tych strzałów kilku mężczyzn wyszło ze swoich domów rozglądając się i nasłuchując trwożliwie z ulicy. Po pewnym czasie około 30-40 minut przybył ktoś od strony Połańca informując, że w Połańcu są Niemcy i że do kogoś strzelali. Za następne około 30-40 minut przybył znów ktoś, relacjonując, że Niemcy zastrzelili synów Jarzyny, gdyż widziano ich po aresztowaniu wiezionych wozem konnym z Niemcami. Przed cmentarzem grzebalnym zatrzymali się, skąd po kilku minutach padły dwie krótkie serie strzałów z broni maszynowej. Jeszcze kilka osób – uciekinierów – potwierdziło ten fakt, a około godziny 10 - znów nowoprzybyli zapewnili nas, że na pewno Niemców w Połańcu już nie ma. Z zachowaniem jednak wszelkiej ostrożności obserwacyjnej wróciłem do domu. Widziałem odprężenie rodziców – wypatrujących otoczenie – którzy dostrzegli mnie już zbliżającego się do domu. Nie było żadnej wymiany słów – oprócz mojego stwierdzenia – wiem wszystko. Słowa były zbyteczne, a poza tym nie mogły przejść przez gardło. Poprzedniego wieczoru, kiedy opuszczałem dom, powiedziałem, że dzisiaj nie wrócę spać do domu. Mamusia zapytała mnie – Ty też? Tak, mamusiu, odpowiedziałem – ja też. Od tej pory rodzice już nigdy nie pytali mnie,

dokąd idę lub kiedy wrócę, podobnie, jak starszych braci.

Uciekinierzy z Połańca już w Rudzie informowali nas o dramacie, jaki przeżywał na cmentarzu Cyprian Jarzyna – ojciec zamordowanych synów. Ale powracam do wcześniejszych godzin.

15 IX 1943 r. bardzo wcześnie rano – jeszcze przed wschodem słońca – żandarmi niemieccy zaskoczyli śpiących jeszcze w swoim domu Eugeniusza – lat 19 i Edmunda lat – 16 synów Cypriana Jarzyny w Połańcu, i aresztowali ich, zabierając ze sobą na pojazd konny. Przed opuszczeniem Połańca, zatrzymali się jednak przed cmentarzem grzebalnym i wykonali na aresztowanych – egzekucję. Tego samego dnia aresztowany został i rozstrzelany także Piotr Sojda z Połańca – niczym szczególnie nie wyróżniający się mieszkaniec. A jednak? Był jakiś powód? Nikt, nie spodziewał się takiego przebiegu sprawy. Z opowiadań późniejszych wiem, że ojciec aresztowanych – Cyprian sądził, że jest to planowane aresztowanie „na wykup", i trzeba przygotować większą ilość pieniędzy. Usłyszane po pewnym czasie strzały od strony cmentarza grzebalnego przeraziły go, i natchnęły jakimś złym przeczuciem i natychmiast, pomijając naturalną dalszą drogę przez most, przebrnął w ubiorze rzekę Czarną na wprost cmentarza, gdzie, tuż za bramą cmentarną, odkrył wstrząsający widok. Jego dwaj synowie leżeli martwi w kałużach krwi. Wszystko zrozumiał. Według opowiadań osoby, która była w tym czasie w pobliżu, to, co usłyszała, to nie był krzyk, płacz czy jęk – lecz „ryk zranionego olbrzyma". Cyprian Jarzyna był bardzo silnym, zdrowym i dobrze zbudowanym mężczyzną i mógł tak potężnie zareagować. To, co się działo na cmentarzu, jest nie do opisania. Jedna z osób, nawet po kilkudziesięciu latach, gdy poruszono ten temat, miała przerażenie w oczach i stawała się jakaś splątana. Ojciec rozstrzelanych synów obejmował na przemian jednego, to znów drugiego – tulił do siebie – miotając się jak oszalały. Spoglądał w niebo, nie wiedząc – przeklinać i grozić – czy błagać i modlić się o odwrócenie faktów, co stać się przecież nie mogło.

Wszyscy mieszkańcy Połańca długo przeżywali ten dramat jak własny – osobisty – bo były to – pomijając inną wymowę, jak dotychczas, najmłodsze ofiary oprawców niemieckich w Połańcu tak bezceremonialnie zamordowane – bez znanej przyczyny.

Chociaż znana już wszystkim od dawna była zasada, że dla Niemców żadne okoliczności – ciąża, wiek, płeć lub kalectwo – nie mówiąc o takim pojęciu jaki ‚niewinność" – nie chroniły przed zaplanowaną przez nich – śmiercią. Niektórzy mieszkańcy Połańca mogli to już oglądać jesienią poprzedzającego roku, podczas częściowej likwidacji – i przesiedlenia Żydów, mieszkańców getta z Połańca do Staszowa. Jednak bezpośrednia obecność w czasie i w miejscu takiego zdarzenia stwarza dopiero możliwość pełnego rozumienia i odczucia tego okrucieństwa i podłości ludzkiej w stosunku do innego człowieka i rodzi pytania: dlaczego? – lub: dla jakiego dobra?

Ojciec zamordowanych synów – Cyprian – stracił na długi czas swój żartobliwy sposób bycia, przekraczający niekiedy reguły żartu. Matka synów już nigdy nie miała na twarzy uśmiechu ani radości – poza głębokim smutkiem i jakby „żalem do całego świata" za nieszczęście, jakie ją dotknęło. Jej twarz była ciągle jednakowa – „sztywna" – bez żadnej mimiki.

W tym samym czasie, kiedy zostali aresztowani Edmund i Eugeniusz, przebywający w ich domu starszy – brat stryjeczny – Kazimierz Jarzyna – partyzant – grupy „Lotnej" AK, a potem „Jędrusiów" ps. „Sokół" miał szczęście uciec, gdyż Niemcy, aby zachować żywego aresztanta, nie oddawali za uciekającym strzałów, lecz puścili w pogoń psa. To uratowało życie Kazimierzowi, ponieważ pies, znajdujący się na linii strzału Kazimierza, był powodem nie oddawania w stronę uciekającego strzałów, chociaż potem taki zamiar Niemcy ujawnili. Uciekający Kazimierz wskoczył do rzeki Czarnej i w jej korycie, wzdłuż krawędzi brzegu, oddalił się na bezpieczną odległość, a Niemcy pościgu nie kontynuowali.

W pogrzebie Eugeniusza i Edmunda oraz Piotra Sojdy nikt z konspiratorów – z wiadomych powodów – nie uczestniczył. Przewidywaliśmy możliwość „kotła", lub wzmożonego nadzoru do późniejszych represji.

Uratowany Kazimierz, do końca już swojego życia nie odwiedził Połańca, gdyż miał tak silne poczucie winy – „samoobwinianie się" – i tak

głęboki uraz do tego zdarzenia i miejsca – myśląc – że to on był powodem wizyty Niemców. Jest to historyczny błąd myślenia przyczynowego. To nie Kazimierz – jako partyzant – był sprawcą tego dramatu, lecz idea ówczesnych Niemiec, wytworzona w chorobliwej i szatańskiej wyobraźni Hitlera – ogłoszona Światu w Mein Kampf, a przyjęta przez większość Niemców jako ich narodowa doktryna, uczyniła tyle zła całemu Światu.

Hitler, wysyłając wojska niemieckie na podbój Polski wykrzyczał – rozkazując: „Idźcie i zabijajcie. Mężczyzn i kobiety. Starców i dzieci. Wszystkich mowy polskiej. Nie miejcie serca ani litości". (Cytat z pamięci, ale wierny w przekazie). Wszystko było jasno zapowiedziane. Tylko tępa i egoistyczna Europa Zachodnia nie chciała tego zrozumieć i dostrzec, a błąd ten musiały opłacić krwią mniejsze narody, niewinne takiego stanu rzeczy. Tchórzliwa Francja – ówczesna potęga militarna Europy – kapitulując przed Niemcami i Anglia, w obronie której – w Bitwie Powietrznej – tak wielkie usługi oddali polscy piloci – zarezerwowały sobie jednak tytuły zwycięzców i „Paradę Zwycięzców" po pokonaniu Niemiec – bez naszego udziału – chociaż z tak małym wysiłkiem militarnym z ich strony.

Wiele lat potem odwiedził mnie w Szczecinie szczęśliwie uratowany Kazimierz Jarzyna „Sokół", kiedy zamieszkiwał Stargardzie, ale do tego tematu w rozmowie nie nawiązaliśmy, omijając go, jako zbyt bolesny dla obydwóch z nas. Eugeniusz był bowiem moim najbliższym przyjacielem tego czasu.

Opis reakcji na wiadomą swoją śmierć księży: Kazimierza i Stefana Grelewskich, w porównaniu do reakcji ojca Cypriana na niespodziewaną śmierć synów, ujawnia nam, jak istotna jest różnica reagowania na śmierć przez osoby duchowne w porównaniu z reakcjami osób świeckich, szczególnie będących w tak bliskich stosunkach rodzinnych jak: ojciec-syn.

Ale temat ten ma jeszcze jedną postać owego rodu, wymagającą dołączenia do splotu osób i zdarzeń.

W Połańcu podczas okupacji zamieszkiwał bowiem – ukrywając się przed Niemcami ks. Julian Jarzyna, z tego samego rodu Jarzynów – brat Cypriana Jarzyny. Kilka zdań jemu poświęcam. Ksiądz kań. Julian Jarzyna urodził się 31 XII 1901 (wg Radosława Matusiewicza – ZP nr 2/2002) – na płycie nagrobnej jest data urodzenia 1900 r. i był rodowitym połańczninem. Była to postać bardzo znacząca wśród duchownych naszej diecezji. Po ukończeniu studiów teologicznych ukończył także studia z filologii klasycznej na UJ. Był wykładowcą w Toruniu, a także w Seminarium Duchownym w Sandomierzu. Jako jedyny na terenie naszej diecezji wykładał język grecki, a niektórzy mówią, że znał także sanskryt, co ma swoja wymowę. Piastował funkcję kapelana wojskowego garnizonu w Sandomierzu i przebył z nim cały szlak bojowy w 1939 r., aż do poddania się twierdzy w Modlinie.

16 III 1942 r. szczęśliwie uniknął aresztowania przez gestapo w Sandomierzu. Od tego czasu ukrywał się, zmieniając miejsca swojego pobytu, przebywając także u swojej rodziny w Połańcu na Podskalu. W tym czasie prowadził kursy „tajnego nauczania" z przedmiotów humanistycznych. Do jednego kompletu należeli: zamordowany Eugeniusz Jarzyna (bratanek księdza), Zygfryd i Mieczysław Korczakowie s. Franciszka i autor niniejszego artykułu – Józef Korczak, oraz Antoni Warchałowski. Od jesieni 1943 r. nasze zaangażowanie konspiracyjne ograniczyło już możliwość dalszego uczenia się na „tajnych kompletach", na korzyść szkolenia wojskowego – podoficerskiego – a potem na skoszarowanej Podchorążówce.

Ksiądz Julian Jarzyna miał szczęście przeżyć całą okupację. Umarł śmiercią naturalną w Połańcu 1978 r. – gdzie spoczywa przy głównej alei cmentarnej. Miał piękny uroczysty pogrzeb, któremu przewodniczył J.E. ks. Biskup Administrator Apostolski Diecezji w otoczeniu 62 księży i licznych wiernych. Mowę pogrzebową wygłosił – także połańczanin ks. prałat L. Wojciechowski z Radomia. Chociaż ks. Julian Jarzyna – jako duchowny nie piastował w Połańcu żadnej funkcji parafialnej, to jednak miewał często okazjonalne Msze św. i wygłaszał emocjonalne homilie – oczekiwane przez wielu parafian.

Wszyscy z nas, którzy byliśmy potem w grupach partyzanckich, mieliśmy szczęście przeżyć okupację. Eugeniusz i Edmund Jarzyna tego szczęścia nie mieli.

Tak różne - lub tak podobne - bywają losy ludzkie lub ich Przeznaczenia

Radosław Matusiewicz

ZNALEZIONE W ARCHIWACH BIBLIOTEKI RADOMSKIEJ

Ostatnimi czasy biblioteki rozpoczęły proces digitalizacji i udostępniania swoich zasobów w Internecie. Znaleźć tam można wszystko lub prawie wszystko. Ja postanowiłem poświęcić trochę czasu na odnalezienie ciekawostek dotyczących Połańca, ukrytych w archiwach Biblioteki Radomskiej. Poniższy materiał zawiera prasówki dotyczące głównie pożaru, który nawiedził nasze miasto w 1889 r., ale nie tylko. Mam nadzieję że ta lektura przeniesie Was na chwilę w czasie do XIX-wiecznego Połańca.

Gazeta Radomska nr 50, 20 czerwca 1889

Pożar Połańca.

Nędzy przybywa z dniem każdym. Jeszcześmy nie ochłonęli z wrażenia po pożarze Sandomierza, jeszcześmy w zupełności nie zaspokoili wyciągniętej po litość ręki a tu znowu klęska, znowu pożar Połańca. Któżby się spodziewał. że my, mieszkańcy tej osady, zmuszeni będziemy wyciągnąć rękę żebraczą: o litość i pomoc.

Dnia 12 czerwca o 12 w południe wybuchł pożar w domu żyda, którego o podpalenie właśni współwyznawcy posądzają i w przeciągu dziesięciu minut główną część osady zaczęły obejmować płomienie. Gwałtowny wiatr iskry w oka mgnieniu przenosił. Spaliła się apteka, szkoła, kancelarya gminna, plebania i piękny a dawny bo 324 lat mający modrzewiowy kościół, pięknie wewnątrz ozdobiony i zewnątrz dobrze ogrodzony. 82 budynki mieszkalne poszły z dymem, nie licząc zabudowań inwentarskich i stodół. Przeszło 200 rodzin bez dachu, i chleba i ubrania. Szkody wynoszą przeszło 300 tysięcy rubli.

Dotknięci jesteśmy całą nędzą, ale najwięcej utratą świątyni tak starożytnej. Ołtarze, organy a szczególniej ambona przecudnej były struktury. Z wewnątrz świątyni bardzo mało uratowano. Brak było pomocy, każdy bronił swojego mienia. Było 24 ludzi włościan w areszcie gminnym, co nie mają, nic swego .do bronienia, rwali się do ratunku świątyni, ale tych nie puszczono, aż się dach im nad głowami zaczął palić a wtenczas pomoc dla kościoła była już późną.

Pomoc tych ludzi byłaby pewnie obroną, kościoła lub przynajmniej rzeczy w nim będących. Iskrę przeniesioną na kościół od palących się budynków, może na trzysta kroków, można było kwartą, wody zalać, ale sikawka na piętnaście łokci, gdzie iskra upadła, dostać nie była w stanie i próżny ratunek.

Ten smutny rozdzierający serca nasze wypadek notuję tu, by czułe i litościwe serca zwrócić ku nam. Szczególniej błagamy o pomoc w odbudowaniu świątyni. Siedm tysięcy wiernych nie ma gdzie ofiary złożyć Bogu. Na razie może by, który z zamożniejszych

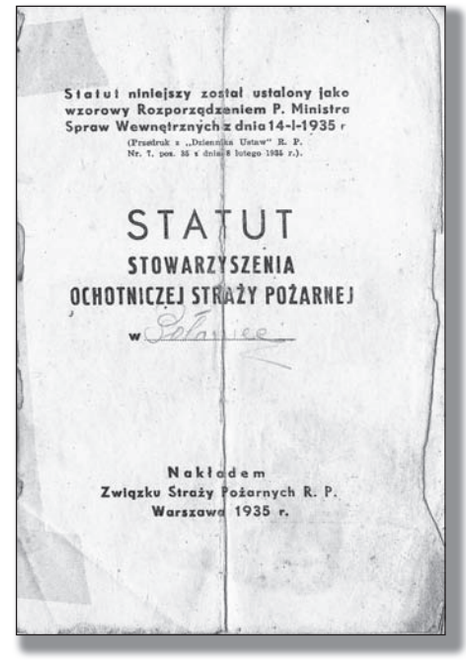
Statut niniejszy został ustalony jako wzorowy Rozporządzeniem P. Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 14-I-1935 r.
(Przedruk z „Dziennika Ustaw" R. P. Nr. 7, poz. 35 z dnia 8 lutego 1935 r.).

STATUT
STOWARZYSZENIA
OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ
w Połańcu

Nakładem
Związku Straży Pożarnych R. P.
Warszawa 1935 r.

kościołów mógł nam ofiarować albę lub mszał, bo wszystko spłonęło. Polecamy się czułym sercom!

Ks. W. Siek.

Od innego korespondenta: Połaniec spłonął. Niegdyś miasto narodowe, dziś osada o 322 domach z ludnością, do 5.000 mieszkańców. Połaniec leży na kresach południowych Królestwa Polskiego. w gub. radomskiej, w powiecie sandomierskim, podzielony na dwie połowy rzeką, Czarną.

Wody nie brakowało, ani dostatecznej ilości narzędzi ratunkowych a jednak nie można było opanować rozszalałego żywiołu. Dnia 12 czerwca o godzinie 12-ej w południu w miejscowości, zwanej "Zatyłki", w stronie zachodniej osady w domu, należącym do żyda, wybuchł pożar, którego pomimo energicznego ratunku w samym zarodzie ugasić i umiejscowić nie było można.

W mgnieniu oka niszczący żywioł z niesłychaną, szybkością przenosił się z budynku na budynek, zamieniając wszystko w popiół i pężynę tak, że z rozległej osady ocalała zaledwie ulica Krakowska, Winnicka i część Staszowskiej - reszta uległa zniszczeniu. Ogień przeniesiony został przez rzekę i obiedwie dzielnice stanęły w płomieniach. Przeszło 3.000 osób pozostało w jednej chwili bez dachu i mienia. Spaliła się szkoła, kancelarya urzędu gminnego, apteka, plebania i kościół starożytny modrzewiony, ufundowany przez ostatniego z Jagiellonów - Zygmunta Augusta, w r. 1567. Świątynia ta odznaczała się prześliczną strukturą, w kształcie krzyża i pomimo trzechwiekowego istnienia utrzymywała swe kształty w przedziwnej czystości. Pożar pamiątkę tę, po ostatnim potomku słynnej w dziejach naszych dynastyi - zniszczył do szczętu. Spaliły się posągi rzeźbione wysokiej wartości artystycznej a mianowicie św. Piotra i Pawła, Matki Boskiej i św. Jana, ambona - prawdziwe dzieło sztuki obraz N. M. Panny w kaplicy z kosztownemi wotami i klejnotami w koronie dużej wartości i organy. Oprócz krzyża z ołtarza wielkiego; nie uratowano nic zgoła. Parafianie połanieccy, którzy oddawna cieszyli się opinią niezwykłej moralności, naraz pozbawieni zostali pociech religijnych a że należą przeważnie do ludności rolniczej, nieprędko więc doczekają się pewnie, ażeby u stóp ołtarza złożyć dziękczynne modły do Pana zastępów.

Jedyna nadzieja w sercach szlachetnych i w dobrych chęciach zamożniejszych i inteligencyi, którzy nie odmówią swej pomocy dla tych, którzy padli ofiarą katastrofy!

Maciej Piecek.

* * *

Wróciliśmy od pożaru. Wobec licznie szerzących się pożóg wśród skwarnego lata, wobec ciągłych łun, rzucających przerażające światła. Oswoiliśmy się patrzeć na. widoki tak bolesne dla wielu i zdaje się, że nie porusza to uczucia naszego. Wróciliśmy od pożaru, który pochłonął 87 domów, kościół, plebanię, szkołę, aptekę i w nędzę pogrążył blisko dwieście rodzin.

Rzecz się działa w Połańcu nad Wisłą, w osadzie gminnej, powiatu sandomierskiego. W środę 12 b. m. w godzinę ledwie ogień wydarł zamożnym całe mienie a biednym chleb. Pozostały tylko, jak na pobojowisku kominy, okopcone drzewa, resztę w pyle rozniósł wiatr po świecie.

Nie umiemy tego opisać, co się dzieje obecnie i działo w chwili kiedy niszczący żywioł szalał po domach ulicach i placach.

Połaniec, to stara podobno siedziba Białochrobatów, kiedyś bogata, uposażona w przywileje królewskie, kasztelania dawna, dziś zupełnie upadła.

Pod Połańcem to Kościuszko wydał swe rozkazy, uwalniające lud od poddaństwa i oddał go pod opiekę komisyi porządkowych wojewódzkich, zmniejszył liczbę dni roboczych, uwolnił idących o boju od pańszczyzny na czas służby wojskowej!

Połaniec posiadał wspaniały kościół fundacyi Zygmunta Augusta. Wybudowany z drzewa, w połowie modrzewiowy i dębowy, obszarem swoim imponował innym w kraju.

Ks. Buliński historyk , utrzymywał, że to jedyny kościół w kraju w swojej strukturze i rozmiarach, jako drewniany. Znajdowały się w nim 3 piękne ołtarze , z nich dwa tryptyki artystycznego dłuta. Ambona w stylu pięknym w rzeźbach z ojcami kościoła.

Nad amboną unosiła się oryginalna rzeźbiona gwiazda, stanowiąca daszek kazalnicy, organ o kilkunastu rejestrach i wspaniały ołtarz wielki.

Trzy z górą wieki składały się na bogactwo tego kościoła a literalnie w 20 minut już nie było ani dymu ani popiołu z tej świątyni.

Patrząc na lud, krzyżem leżący na zgliszczach tego Domu Bożego i słuchając ich bolesnego "gore matka nasza, gore nasz kościół , gore nasza P raca , nasz trud!" czułeś w swych piersiach ich żal, w oczach ich łzę, w duszy ich cierpie-

nie. Potrzeba tam być , chcąc odczuć boleść tych szarpanych klęską piersi. Rzucano nam dzieci do nóg, prosząc o chleb dla niemowląt. Na słowa pociechy odpowiadano nam jękiem i milczącą łzą. Człowiek nie ma odwagi opuszczać tej nędzy zamykając kieszenie! O! Gdyby nam kto dopomógł przemówić i trafić do ludzkich serc i chrześciańskiego uczucia miłości za tymi nędzarzami? Ale sądzę, że sięgną do naszych kieszeni nie czułe słówka a nędza poczerniałych twarzy, wycieńczonych głodem rąk i rozpaczliwa myśl, że wy coś macie a oni nic zgoła... nic!

Redakcya "Gazety Radomskiej" nie odmówi pośrednictwa w tym względzie - to dla niej miły obowiązek*).

Nie rozumiemy tylko dla czego municypalność m. Połańca nie zechciała uwolnić 24 ludzi, miejscowych włościan, którzy chwilowo odsiadywali karę w areszcie a żądali wolności dla niesienia pomocy tam, gdzie jej była istotna potrzeba. Na drugi dzień po pożarze miasto Staszów podało pierwszą pomoc w żywności, zaspokajając głód może na jeden lub dwa dni. Do nas reszta należy!!

Ks. Kuropatwiński. czystości, a papież Eugeniusz IV roku 1433 kop. 80.

*)

Dla pogorzelców Połańca.

Kto może, niech składa grosz wdowi - ciężkie są czasy i potrzeb wiele, lecz Radom nie może być obojętnym dla tych dla których powinien być matką w niedoli i gwiazdą przewodnią w pracy dla kraju. Redakcya według możności składa na pogorzelców tej starożytnej siedziby rs. pięć.

Gazeta Radomska nr 54, 4 Lipca 1889

Echo pożaru Połańca

Jeszcześmy nie ochłonęli z bolesnego wrażenia na widok zgorzałego do szczętu Kościoła w Połańcu, lecz szlachetne zainteresowanie się Redakcyi Gazety Radomskiej i Radomian naszem smnutnem położeniem, skłania nas do przesłania tych kilku wyrazów. Długi byłby wykaz cennych przedmiotów zniszczonych w czasie rzeczonego pożaru - wymienię straty najważniejsze:

Obraz Najswiętszej Maryi Panny na drzewie, farbami woskowemi na podkładzie kredowym malowany, zabytek sztuki z wieku XV, pochodzący z dawniejszego miejscowego kościoła parafialnego, pod wezwaniem św. Katarzyny Panny i Męczenniczki. Obraz wielkich rozmiarów i pięknego pędzla na płótnie z wieku XVII, przedstawiający w alegorycznych postaciach znikomość świata.

Biblioteka kościelna mieszcząca się w dwóch szafach urządzonych w murze kaplicy Najświętszej Maryi Panny złożona ze 188 dzieł, między któremi były inkunabuły sztuki drukarskiej np: Summa angelica de casibus conscientiae Mediolani 1444 r. Rosella casuum per fratrem Baptistam 1445 r. Speculum exemplarum Argentini 1495 r. Summa de laudibus Virginis Mariae Alberti Antistitis Coloniae 1502. Ambrosii Episcopi Mediolanensis officiorum libri 3. Coloniae 1529. Psalmy Dawidowe z kommentarzem po polsku, drukowane w Krakowie około r. 1590. Arytmetyka drukowana w Krakowie u Hieromina Szarfenbergera. O męce Pańskiej Jana Leopolity Kraków 1537. Mszał drukowany w Krakowie r. 1545 u Marka Szarfenbergera. Z całej biblioteki ocalały tylko trzy dzieła, które niżej podpisany miał w Sandomierzu, między niemi manuskrypt ostatniej księgi historyi Dhlgosza. W tejże bibliotece spłonęły trzy dyplomaty dla cechów połanieckich: tkackiego, szewskiego i kowalskiego z podpisami i pieczęciami królów: Zygmunta III, Władysława IV i Augusta II, nadto księga rachunkowa: cechu szynkarskiego z r. 1520. W tejże bibliotece znajdowała się także erekcya Bractwa Literackiego wydana w Krakowie 1490 r. przez królewicza Fryderyka Jagiellończyka Elekta biskupa krakowskiego. Na pieczęci był anioł z rozpostartymi skrzydłami trzymający oburącz tarczę, na tarczy orzeł Jagielloński. Prócz tej pieczęci na szkarłatnym sznurku wisiała pieczęć Zbigniewa Oleśnickiego Prymasa Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i trzy pieczęcie innych biskupów polskich, szóstej pieczęci brakowało.

Dyplomat ten ważnym był nietylko dla miejscowego kościoła i bractwa, lecz nadto rozstrzygał kwestyę naukową przez naszych historyków poruszaną; taka bowiem liczba pieczęci biskupich do jednego dokumentu przywieszonych, dowodzi że dyplomat ten wydany został na synodzie prowincyonalnym. Otóż gdy prałat Buliński w swojej historyi Kościoła polskiego

kładzie pod rokiem 1491 synod wątpliwy, zwołany w Krakowie, na którym uchwalone były dobrowolne ofiary od duchowieństwa nu wyprawę przeciw Multanom, a ks. Fabisz tenże sam synod jako wątpliwy kładzie w Piotrkowie pod r. 1494; dyplomat połaniecki znosi wszelką wątpliwość co do zebrania się tegoż synodu, i wskazuje że odbył się on rzeczywiście jak pisze ks. Buliński w Krakowie, lecz na rok wcześniej tj: w 1490 r. Spłonęło całe archiwum kościelne, złożone w skarbcu w dużej drewnianej skrzyni. Z całego archiwum ocalały metryki kościelne rozpoczęte w r. 1665, a które na szczęście zabrałem do Sandomierza dla opatrzenia ich w nową oprawę. Niestety! spaliła się nam piękna rzeźbiona z drzewa kościelna chrzcielnica, z której ochrzczony był świętobliwy połańczanin Juljan Stropoński zmarły w klasztorze Stopnickim w 1742 roku, a którego budujący żywot umieścił Florjan Jaroszewicz, w dziele swoim Matka S-tych Polska pod dniem 31 Maja. Z uratowanych od ognia nielicznych przedmiotów zasługują na uwagę: Obraz na płótnie włoskiego pędzla, przedstawiający Patrona kościoła S-go Marcina Biskupa Turońskiego, malowany w XVI wieku. U stóp świętego Biskupa po obu stronach przedstawione są współczesne postacie jako to: Zygmunt August fundator Kościoła, ojciec jego Zygmunt Stary, Matka jego Bona w pięknym stroju z koronkami i długim trenem, niewiadomy z nazwiska proboszcz połaniecki, i paru świeckich panów, z których jeden z przystrzyżonemi wąsikami zdaje się coś szeptać do ucha Królowej. Uratowane także zostało stare drewniane krzesło, na którym siadywał Tadeusz Kościuszko, w czasie kwaterowania swego w roku 1794 pod Połańcem, u Tekli Jungiewiczowej wdowy po Szymonie, która rodziła się w żydowstwie w mieście Staszowie w rynku, w tem miejscu gdzie przed pożarem ostatnim Staszowa była kamienica Knothów pod Nr. 17 -tym, a dziś stoi kamienica nowa starozakonnego Karpena. Żydóweczkę tę odznaczającą się niezwykłą urodą wykradł z domu rodziców obywatel połaniecki sławetny Szymon Junkiewicz i przeprawił się z nią za Wisłę do dzisiejszej Galicyi austryjackiej, i z ochrzczoną zawarł związki małżeńskie, poczem zamieszkał we własnym domu dotąd stojącym na przedmieściu Żapniowie. W tym to domu już po śmierci Szymona, u wdowy Tekli kwaterował Tadeusz Kościuszko. Dzisiejszy właściciel tego domu obywatel pan Michał Murczkiewicz jest prawnukiem Szymona i Tekli, synem ich bowiem był Stanisław Junkiewicz, którego córka Teresa wyszła ;za Dominika Murczkiewicza ojca Michała, ożenionego z Eufrozyną ze Skałukich. Szanowni ci małżonkowie w roku zeszłym krzesło po Kościuszce ofiarowali na własność Kościołowi Połanieckiemu, które wyratował z palącej się plebanji brat mój Aleksander, zaś obraz S-go Marcina wyratował z Kościoła obywatel Jungiewicz Senior Bractwa Różańcowego.

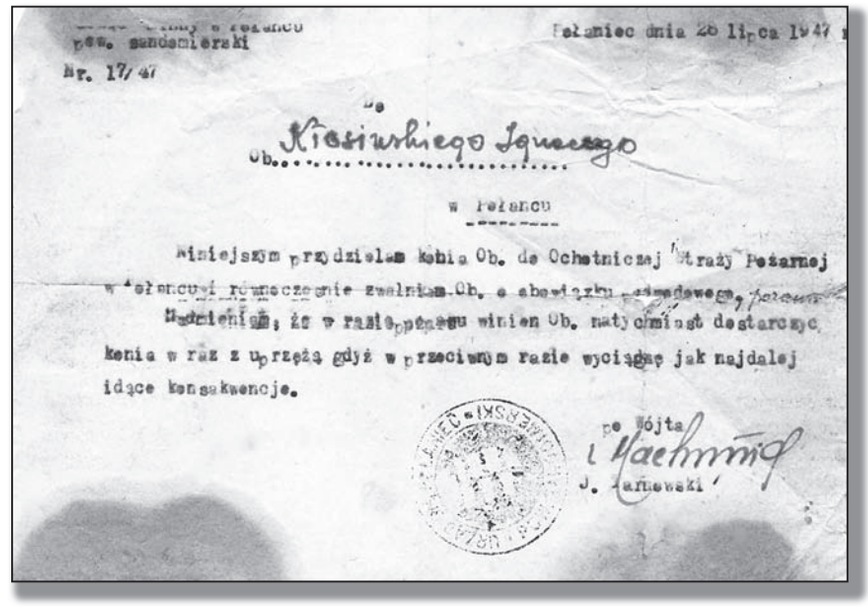
pow. sandomierski

Połaniec dnia 26 lipca 1947

Nr. 17/47

Do

Ob. Kłosiwskiego Ignacego

w Połańcu

Niniejszym przydzielam konia Ob. do Ochotniczej Straży Pożarnej w Połańcu i równocześnie zwalniam Ob. o obowiązku [illegible]

Nadmieniam, że w razie [illegible] winien Ob. natychmiast dostarczyć konia w raz z uprzężą gdyż w przeciwnym razie wyciągnę jak najdalej idące konsekwencje.

po Wójta

J. [illegible]

Ks. Apollnary Knothe
proboszcz połaniecki.

Z miasta

Wiadomości kościelne.

Na kościół w Połańcu w redakcyi naszej złożyli: PP. Jadzia Wysocka kop. 10, Zosia Wysocka k. 10, bezimiennie k. 15, Włościanie Starej Woli Gołębiowskiej rs. 2 kop. 5., jako w rocznicę śmierci ś.p. Zofii rs. l, bezimiennie rs. 1. Szałowski kop. 50. Razem z poprzedniemi rs. 16. k. 55.

Na pogorzelców Połańca w redakcyi naszej złożyli PP. Włościanie Starej Woli Gołęm-

biowskiej rs. 2, jako w rocznicę śmierci śp. Zofii rs. 1. bezimiennie rs. 1, Szałowski k.50. Razem z poprzedniemi ofiarami rs. 25. Oprócz tego na pogorzelców p. Ewelina Frelek złożyła: 3 koszule, bluzkę i kaftan.

Na Połaniec. Wieczór literacko-dramatyczny jaki odbył się w teatrze letnim w ubiegły wtorek powiódł sie najzupełniej dobrze. Pogorzelcy starożytnej siedziby otrzymają skromny wprawdzie, ale serdeczny od radomian zasiłek. Szanowne amatorki i amatorzy z zadania swego wywiązali się bez zarzutu niosąc pracę swoję i talent dla cierpiącej ludzkości. Dzięki im serdeczne jak również paniom: Ludwikowej i Wilhelmowej Karsch i p. Stanisławowej Michalskiej, że raczyły zająć się sprzedażą programów. Dzięki im stokrotne za szlachetna pomoc w imieniu pogorzelców. Dochód z wieczoru wtorkowego dosięgnął do rs. 163 k., 24 wydatki rs 37 k. 35. Czysty więc zysk zamyka się cyfrą rs. 125 k. 39, które w połowie na pogorzelców a w połowie na budowę Świątyni w Połańcu odesłano za pośrednictwem władzy miejscowej. Serdeczne podziękowanie należy się również p. Józefowi Wełnowskiemu za dostarczenie bezinteresowne kwiatów, p. Zielińskiemu. właścicielowi apteki za ogień bengalski oraz p. Marczewskiemu za wynajęcie sali teatralnej po cenie zaniżonej.

Organizatorem przedstawienia wtorkowego był jak zawsze p. Karol Hoffman, któremu należy się szczera podzięka za gotowość z jaką chętnie poświęca talent i pracę na cel szlachetny.

Gazeta Radomska nr 80, 2 Października 1889

Z okolicy.

Połaniec (w sandomierskim). D. 28 Września 1889 roku.

Kto nie był u nas po pożarze, jaki w roku bieżącym nawiedził nasze miasto ten nie jest w stanie pojąć ogromu szkód przez niszczący żywioł zrządzonych. Z okazałej świątyni pańskiej, z domków mieszczańskich tylko zgliszcza pozostały. Stuletnie topole zagajające przedtem kościół, plebanią i część miasta około rzeki Czarnej leżącą, obnażonee z zieleni, zwęglone, sterczą jakby szkielety wśród zgliszcz i spustoszenia.

Nędza, szczególniej między chrześciańską ludnością ogromna. Na rumowiskach zaledwie kilka nowych domków stanęło. Gdzie reszta nędzarzy schroni się na zimę? Na wsparcia dla pogorzelców z ofiarności publicznej wpłynęło bardzo, ale to bardzo niewiele.

Nowy pożar Skaryszewa zajął uwagę ogółu, o nas więc zupełnie zapomniano. Ofiary dalsze nie wpływają, o koncercie lub teatralnem przedstawieniu na korzyść naszych pogorzelców i na odbudowanie naszej świątyni, nikt już nie myśli. Jesteśmy więc rzuceni na opatrzność losu. Nie upadamy jednak pod ciężarem nieszczęścia jakie nas dotknęło. Zacni nasi kapłani ks. kanonik Knothe i pomocnik jego ks. Siek, nad siły nawet pracują, abyśmy mieli tymczasowo choć jakikolwiek przybytek dla Pana nad pany. Do murowanej więc kaplicy, pozostałej przy spalonym kościele, dobudowano obszerny budynek drewniany, kryty słomą, z małą drewnianą wieżyczką i w niej pomieszczono kościół tymczasowy. Patrząc na tą chwilową świątynię, z desek, pod strzechą, nie jednemu zapewne przychodzą na myśl pierwsze wieki chrześciaństwa i z rozrzewnieniem przerzuca się człowiek myślą w te prastare czasy, w których praojcowie nasi wolni byli od obłudy, fałszu, zazdrości i namiętności, w których ludzie dla religii i dla kościoła, życie i mienie swoje oddawali …. Dzisiaj, jakkolwiek czasy się zmieniły, nie brak jednak ludzi zacnych, ludzi dobrej woli. Wy więc, co możecie, nie zapominajcie o kościółku połanieckim, o biednych pogorzelcach bez dachu i mienia. Setny grosz wam zbywający poświęćcie na kościół i na nędzarzy połanieckich, toć ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka, jak mówi staropolskie przysłowie, siebie nie zubożycie, a iluż to głodnym grosz wdowi łzy obetrzeć potrafi!.

N.

Gazeta Radomska nr 12, 8 Lutego 1890

Z Połańca.

Szanowny Panie Redaktorze! Racz w piśmie swoim zamieścić poniżej załączone słów kilka, aby tym sposobem pobudzić ludzi szlachetnych do ofiarności dla nieszczęśliwych pogorzelców. Po klęsce pożaru d. 12 czerwca r.z., który osadę Połaniec, położoną w powiecie sandomierskim, gub. radomskiej, zniszczył do szczętu i pozbawił parafian kościoła a z nim cennych zabytków przeszłości i aparatów kościelnych, ludność zaś dachu i mienia, zaledwie 20 stycznia r.b. zorga-

nizował się komitet do zbierania składek na budowę świątyni i plebanii.

Trudne zadanie komitetu; radzić co prawda jest o czem i nad czem, ale cóż pomoże rada, choćby i najlepsza, kiedy brak funduszów, choćby najmniejszych, bez których obejść się nie można.*)

Prawda, że parafia połaniecka obejmuje folwarki: Ruszcza, Rybitwy, Sieragi, Szczeka, Rudniki i Tursko Małe, własność hrabiego Potockiego, zamożnego pana i znanego ze swej ofiarności, lecz niestety złożonego obecnie chorobą, która uniemożliwia do niego przystęp.

Ludność osady Połaniec, która w dniu klęski w jednej prawie godzinie pozbawiona została dachu i mienia, nie może się tak szybko podnieść jak mieszkańcy osady Mrzygłoda. W Połańcu sterczą dotąd ogorzałe kominy i wiekowe drzewa, na widok których serce się kraje! Brak materyału budowlanego i bieda, staje na przeszkodzie do rozpoczęcia dzieła. Nie ma gdzie kupić cegły i drzewa dla biednego pogorzelca. Wszystko idzie opornie; nawet asekuracyi dotąd nie odebrali i gdyby nie włościanie, którzy w swych lasach sprzedaż drzewa otworzyli, wiele rodzin padłoby ofiarą zimy. Biedniejsi znaleźli przytułek u tych, którym zamożność dozwoliła na odbudowę swych siedzib.

**) Redakcya dnia 28 lipca r. 1889 przesłała na ręce W-go Naczelnika powiatu sandomierskiego rs.32 kop.95 na pogorzelców Połańca i rs.26 i kop.65 na budowę tamże świątyni. Jednocześnie z dzisiejszym numerem Redakcya posyła szan. komitetowi rs. 12 na budowę kościoła.*

Gazeta Radomska nr 16, 22 Lutego 1890

Z okolicy.

Od administracyi dóbr Staszowskich otrzymujemy pismo następujące: Szanowny Panie Redaktorze/ W korespondencyi z Połańca, zamieszczonej w Nr. 12 "Gazety Radomskiej", p. P., członek komitetu budowy kościoła, pomieścił wiadomości dotyczące administracyi dóbr staszowskich, nie zbyt zgodne z prawdą, wobec czego załączam sprostowanie, które mam nadzieję Szanowna redakcya w piśmie swem, pomieścić raczy.

Korespondent utrzymuje, ze cegielnia i. lasy staszowskie są dla pogorzelców zamknięte! Że tak nie jest, najlepiej o tem fakta zaświadczą.

O kupno materyałów zgłaszało się wielu i ci zabrali wszystkie zapasy budulca w zrębach i tarcice z tartaku, jakie do potrzeb miejscowych pozostały. Sprzedno pogorzelcom od lipca do października budulcu grubego sztuk 502, łat 310, tarcic 594, oprócz materyałów, wziętych na budowę kaplicy w Połańcu.

Pogorzelcom, którzy zgłaszali się do administracyi o zapomogę, wydano: ubogiemu tarcicę bezpłatnie, kupcowi za gotówkę po zaniżonej cenie, rzemieślnikowi budulec na pareset rubli po zaniżonej cenie na kredyt. Sprzedając materyał na budowę kaplicy, dodano na kilkadziesiąt rubli bezpłatnie.

O kupno cegły, jak do tego przynajmniej czasu do administracji nie zgłaszał się.

Jaki więc cel miał korespondent, podając podobne wiadomości, nie wiemy; ograniczamy się tu do faktów i cyfr, dowodzących, że korespondent, jako członek komitetu budowy kościoła, a więc stały mieszkaniec m. Połańca, ma bardzo błędne informacye!

Administracya dóbr staszowskich

Z Połańca otrzymujemy pismo następujące: Szanowny Panie Redaktorze. W imię prawdy, proszę uprzejmie Szanownego pana o łaskawe pomieszczenie w szpaltach Twej gazety następującego wyjaśnienia.

W jednym z ostatnich numerów „Gazety Radomskiej", pomieszczonym był artykuł p. Piecka, członka komitetu, obradującego nad mającą się rozpocząć w przyszłości budową spalonego kościoła w Połańcu, w którym to artykule autor u…(?) się rodzajem skargi publicznej na brak ofiarności ze strony administracyi hrabiego Potockiego, z tej racyi, że pomimo tak wielkiej klęski, jaką mieszkańcy Połańca dotknięci zostali skutkiem pożaru w roku zeszłym, jednakże administracya dóbr zamknęła cegielnie, a meteryału budowlanego na odbudowanie spalonych domów na kredyt, to jest do czasu odebrania fajerkasy, pogorzelcom nie udziela tak, że biedacy zmuszeni byli sprzedać ostatnią krowę, aby zaspokoić pierwsze potrzeby.

Jako człowiek bezstronny, niemający najmniejszej urazy do autora artykułu ani też nie doznający żadnych grzeczności ze strony administracyi dóbr, a więc niepowodowany prywatą, uważam za właściwe podać do publicznej wia-

domości to maleńkie sprostowanie, które rzecz całą postawi w odmiennym świetle.

Jakkolwiek członek komitetu pisząc artykuł, nacechował go miłością bliźniego zapomniał jednakże o tem, że ofiara ludzka nie zdobywa się ani siłą, ani groźbą, ale prośbą, a jeżeli pogorzelcy w Połańcu nie prosili administracyi dóbr o wydanie im materyału budowlanego na kredyt, to widocznie nie potrzebowali takiego. Z jakiejż więc racyi administracya miała wydawać drzewo na kredyt, kiedy oto nikt nie prosił??

Gdy po pożarze komitet obradował nad wzniesieniem tymczasowej świątyni, okazało się, że jest bardzo niewiele gotówki, za którą nic by się zrobić nie dało. Komitet więc udał się z prośbą o sprzedaż drzewa do administracyi dóbr hrabiego Potockiego a udał się nie naprężno, gdyż administracya, przyjąwszy pewną zaliczkę, natychmiast drzewo w potrzebnej ilości na kredyt wydać kazała, wydając jednocześnie znaczną ilość bezpłatnie. Czyn taki jest zanadto wymownym i uczciwym i nie pozwala posądzić administracyi o brak ofiarności, o czem zapewne autor artykułu nie wiedział, gdyż nie przypuszczam, aby wiedzieć nie chciał.

Chyba i o ten także autor artykułu wiedzieć powinien, że na terytoryum dóbr hrabiego Potockiego znajduje się kilka kościołów restaurowanych lub restaurujących się obecnie a każdy z nich korzysta z ofiarności administracyi-czy to w formie gotówki, czy też w formie materyału budowlanego, co wszystko razem wzięte stanowi bardzo poważną corocznie wydawaną sumę, boć i biedaków korzystających z ofiarności dóbr jest także mnóstwo.

Bezstronny

Gazeta Radomska nr 80, 19 Października 1898

Z Okolicy.

Z Połańca. Połaniec ma około pięciu tysięcy mieszkańców, przeważnie starego zakonu, ma kancelaryę gminną z kasą pożyczkową, dwie szkoły gminne, 2 jatki z mięsem koszernem, 1 sklep monopolowy, 1 szynk przed paru miesiącami otwarty (Połaniec nie swojsko wyglądał bez szynku), kilkadziesiąt krawców z rozmaitemi towarami w najgorszym gatunku, jeden sklepik spożywczy włościański-ma aptekę. jednem słowem. jak na małą mieścinę, ma wiele, lecz ludziom wszystkiego, co posiadają, jest za mało. Połańcowi np. i okolicy potrzeba nieodzownie lekarza. Parafia połaniecka liczy przeszło 7 tysięcy dusz. Osada ma ludności żydowskiej z górą 3 tysiące. Odległość miast, z których w potrzebie wzywa się doktorów: Staszów wiorst 17, Stopnica 25, Sandomierz 42 nb. drogi wcale nie wiorstowej.

A. K.

Sprostowanie. Ponieważ wszystkie ofiary, wpływające do „Gazety Radomskiej" składane były wyłącznie na ręce moje, uważam więc za obowiązek ogłosić niniejsze sprawozdanie, które jak sądzę, przekona ogół, że „Gazeta Radomska" ma spory zastęp przyjaciół i zwolenników.

Złożono:
(….)
Na kościół w Połańcu rs.13 kop.--
Na nieszczęśliwych Połańczan rs. 351 kop.57
(….)
Henryk Hugo Wróblewski

WYPADKI

Gazeta Radomska nr 64, 8 Sierpnia 1889

21 lipca w stanie nietrzeźwym rzucił się do rzeki Czarnej w osadzie Połaniec i utonął strażnik straży granicznej sandomierskiej, Franciszek Mateson.

* * *

Gazeta Radomska nr 6, 18 Stycznia 1890

Skutki lekceważenia meldunków paszportowych. Przed miesiącem starozakonny Sinal Gruszkiewicz, mieszkający przy ulicy Kozienickiej, przyjął służącą, mieszkankę osady Połaniec, Eleonorę Justyn, której paszportu nie złożył w policyi, lecz trzymał takowy u siebie w domu,- W kilka dni spostrzegł, że owa służąca, skradłszy mu rs.340 gotówką, uciekła. Smutne doświadczenie nauczyło poszkodowanego przezorności, lecz już zapóźno. Paszport służącej przedstawiony policyi, okazał, że Justyn już była karana sądownie i dlatego miała paszport dozoru policyjnego, o czem Gruszkiewicz mógł być powiadomionym, złożywszy go zaraz po przyję-

ciu służącej. Sprawczynię kradzieży policya poszukuje energicznie.

* * *

Gazeta Radomska nr 50, 20 Czerwca 1889

W ubiegły czwartek około godz. 6-ej po południu we wsi Zawady i Ług od uderzenia piorunu utraciło życie jednocześnie prawie troje dzieci włościańskich.

* * *

Gazeta Radomska nr 61, 1 Sierpnia 1894

Codzienny biuletyn urzędowy o przebiegu cholery w m. Radomiu (…)

w os. Połaniec	Zach.	Wyz.	Zmarł.	Pozos.
23 lipca 1894	2	1	1	5
24 lipca 1894	4	2	-	7
25 lipca 1894	-	-	-	7
we wsi Ruszcza dolna				
23 lipca 1894	-	-	-	3
24 lipca 1894	1	-	-	4
25 lipca 1894	1	1	1	3
fol. Szwagrów				
23 lipca 1894	2	-	1	3
24 lipca 1894	1	-	2	2
25 lipca 1894	3	-	-	5
W Rytwianach:				
23 lipca 1894	3	-	4	10
24 lipca 1894	5	3	2	9
25 lipca 1894	-	-	-	9
we wsi Kłoda				
23 lipca 1894	-	-	-	2
24 lipca 1894	-	1	-	1
25 lipca 1894	-	-	-	1

Gazeta Radomska nr 62, 4 Sierpnia 1894

Codzienny biuletyn urzędowy o przebiegu cholery w m. Radomiu (…)

w os. Połaniec	Zach.	Wyz.	Zmarł.	Pozos.
26 lipca 1894	1	2	-	6
27 lipca 1894	5	1	3	7
28 lipca 1894	2	2	-	7
we wsi Ruszcza dolna				
26 lipca 1894	-	-	-	3
27 lipca 1894	-		-	3
28 lipca 1894	-	-	-	3
fol. Szwagrów				
26 lipca 1894	-	-	-	11
27 lipca 1894	2	6	1	6
28 lipca 1894	-	-	-	6
W Rytwianach:				
26 lipca 1894	4	1	2	10
27 lipca 1894	3	3	2	8
28 lipca 1894	8	1	4	11
we wsi Kłoda				
26 lipca 1894	-	-	-	1
27 lipca 1894	1	1	-	1
28 lipca 1894	-	1	-	-

Gazeta Radomska nr 15, 21 Lutego 1894

Z Połańca. W zakątku naszym żyjemy z dnia na dzień, spodziewając się, że może kiedyś doczekamy się poprawienia dróg, aby się jakoś można skomunikować z resztą kraju. Kto nie jechał do Połańca ten nie ma pojęcia co to jest zła droga, a jednak z tutejszej osady prowadzą 3 drogi powiatowe, pełne błota, dołów; jest i brak mostów, a jeśli się gdzie trafi jakiś to bez poręczy, można więc w nocy śmiało wjechać w rów i zbić guza. Gdyby od czasu podzielenia dróg na 1-e i 2-o rzędne, każda gmina zrobiła szosy choć 100 sążni, to z pewnością osada tutejsza była by już połączona z każdem z miast, do których drogi drugorzędne prowadzą. Dobra komunikacya jest bogactwem kraju! W skutek złej komunikacyi produkta spożywcze płacimy drożej niż w większych miastach. 5 lutego o godzinie 2-ej po północy, widzieliśmy błyskawice, a w sobotę 10 lutego o godzinie 4-ej po południu, mieliśmy ulewny deszcz z silnym grzmotem, błyskawicą i piorunami. Trwało to 30 minut, nawałnica przechodziła z zachodu na wschód.

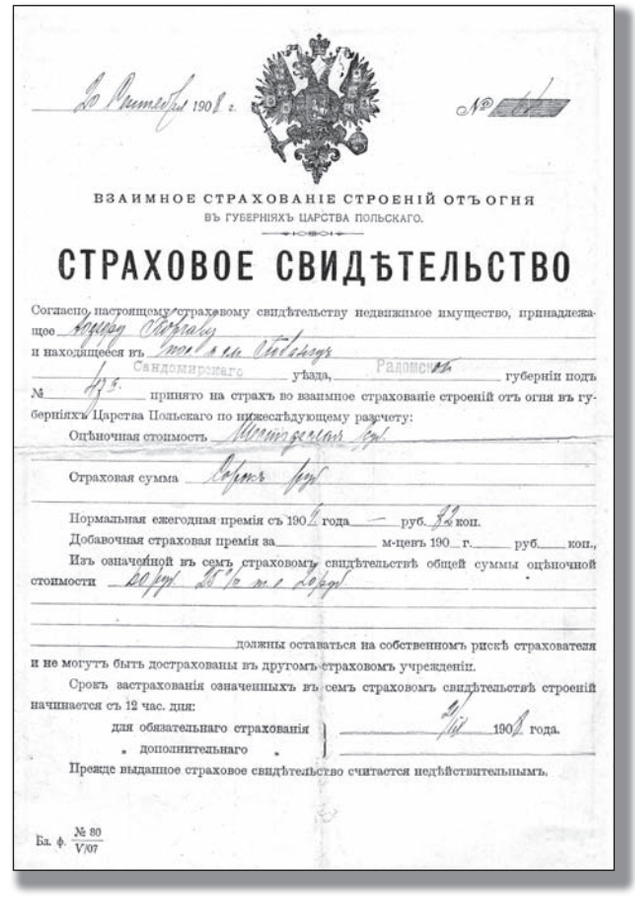

ВЗАИМНОЕ СТРАХОВАНІЕ СТРОЕНІЙ ОТЪ ОГНЯ
ВЪ ГУБЕРНІЯХЪ ЦАРСТВА ПОЛЬСКАГО.

СТРАХОВОЕ СВИДѢТЕЛЬСТВО

Согласно настоящему страховому свидѣтельству недвижимое имущество, принадлежащее
и находящееся въ
уѣзда, губерніи подъ
№ принято на страхъ по взаимное страхованіе строеній отъ огня въ губерніяхъ Царства Польскаго по нижеслѣдующему разсчету:
Оцѣночная стоимость
Страховая сумма
Нормальная ежегодная премія съ 190 года руб. коп.
Добавочная страховая премія за м-цевъ 190 г. руб. коп.,
Изъ означенной въ семъ страховомъ свидѣтельствѣ общей суммы оцѣночной стоимости
должны оставаться на собственномъ рискѣ страхователя и не могутъ быть дострахованы въ другомъ страховомъ учрежденіи.
Срокъ застрахованія означенныхъ въ семъ страховомъ свидѣтельствѣ строеній начинается съ 12 час. дня:
для обязательнаго страхованія 190 года.
„ дополнительнаго „
Прежде выданное страховое свидѣтельство считается недѣйствительнымъ.

Бл. ф. № 80 V/07

Gazeta Kielecka nr 31, 19 Kwietnia 1882

Z sandomierskiego donoszą nam o następującym wypadku. Straż celna dla powstrzymania coraz więcej rozszerzającego się, z wielką szkodą przemysłu krajowego, przemytnictwa z Galicyi, energicznie zajęła się wykryciem składów przemycanych towarów. W tym celu, po otoczeniu szwadronem kawaleryi nadgranicznego miasta Staszowa, owego gniazda, dokąd przemytnicy niczym pszczoły do ula znoszą swe łupy i po dokonaniu rewizyi zabrano nie oclonych towarów jak mówią na rs. 30.000. Podobne poszukiwania, rewizyje i zabory odbyły się w innych nadgranicznych miejscowościach; aż nareszcie przyszła kolej na osadę Połaniec nad Wisłą, gdzie p. Jedronow kapitan straży celnej na stanowisku w Zawadzie, u kupca Horowicza i dwóch innych jeszcze handlarzy, zabrał w zeszłym tygodniu, jak mówią, nieoclonego towaru na rs.600. Tak ścigani po najniepozorniejszych miejscowościach przemytnicy, czując się mocno zachwiani i majątkowo zagrożeni, starali się zdobyć wiadomość, zkąd straż celna otrzymywała tak dziwnie pewne wskazówki o ich obrotach i kryjówkach.

Nie wiadomo, czy przypadkowym trafem, czy tylko z domysłu i porównywania dopatrzonych stosunków, powzięto jakieś poszlaki-że denuncjantką nie może być kto inny, tylko żydówka z Połańca nazwiskiem Stecka.

Rozgniewany lud Izraela za taką zdradę, postanowił sam wymierzyć odpowiednią karę. I oto miejscowy kachał sprowadził z słynnego Pacanowa – uczonego rabina; poczem zasiadł wielki sąd w Połańcu, w pow. sandomierskim, któremu przewodniczyli dwaj rabini: miejscowy i pacanowski oraz członkowie kachału. Po rozpatrzeniu sprawy zapadł wyrok. Posądna zostanie wyklęta, co też z wszelkiemi formalnościami w bóżnicy uroczyście zostało spełnione; ma powrócić wszelkie straty i koszta przez poszkodowanych poniesione, do czasu zaś zaspokojenia zasądzonych należności nie wolno jej wchodzić do bóżnicy; prócz tego, jako z wyklętą nikt z ludu prawowiernego żadnych nie może mieć stosunków handlowych – słowem, skazana odłączoną została od społeczeństwa jednowierców.

Niedosyć na tem, tłum z kilkuset żydów złożony napadł na jej dom, gdzie napastnicy potłukli okna a drzwi w drzazgi zrąbali – przytem cała gromada przeraźliwie wyjąc, rycząc i piszcząc wyprawiła kocią muzykę, której dziki odgłos o parę wiorst słyszano.

Osądzona przewidując zapewne jak nierówne przykrzejsze następstwa sprowadziłaby jej skarga, z pokorą poddała się wyrokowi i już na rachunek kosztów dobrowolnie rs. 100 złożyła. Wypadek powyższy podajemy bez żadnych z naszej strony uwag w spodziewaniu, że każdy z czytelników jak należy osądzić go potrafi.

Gazeta Radomska nr 65, 16 Sierpnia 1890

Z Połańca. Dnia 5 sierpnia r. b.J.W. Naczelnik gubernii radomskiej, rzeczywisty radca stanu Majewski w towarzystwie urzędnika do szczególnych poruczeń p. Warencewa odwiedził nasze miasteczko. Na powitanie dostojnemu gościowi ofiarowano chleb i sól i przyjęto go następującymi słowy: "Racz J. W. Panie przyjąć ten chleb czarny, jaki w pocie czoła zdobywamy, a sól biała mech będzie jego ozdobą. Niestać nas na lepsze przyjęcie, gdyż katastrofa r.z. na długie lata pozbawiła nas dobrobytu. Witamy Cię, JW. Panie, dzień ten, w którym raczyłeś przybyć do naszej osady zachowamy wiecznej pamięci.

Żyj nam długie lata, rządź serdecznie powierzoną ci gubernią, a znajdziesz w niej kochające Cię serca!" Po przyjęciu chleba i soli, dostojny gość udał się na zgliszcza spalonego kościoła i tu przedstawiono Mu naglącą, potrzebę wypłaceni przynależnej składki assekukuracyjnej, której dotąd jeszcze nie odebrano. JW. Gubernator łaskawie przyrzekł, że wypłacenie jej nastąpi wkrótce, a przedstawienie dotyczące budowy świątyni przyrzekł łaskawie poprzeć w miarę możności. Po odpoczynku na wikaryacie JW. Gubernator udał się na rewizye zarządu gminnego, w którym znalazłszy wszystko w należytym porządku, podziękować raczył pisarzowi gminnemu p. Drzewińskiemu. Izraelici niezaniedbali również praw gościnności i wystąpili z chlebem, i rodałem.

Osada Połaniec ma ludności stałej ogółem 4747 dusz, samych zaś izraelitów 1632,z tych mężczyzn 822, kobiet 810. Na jednego izraelitę przypada prawie 3-ch chrześcian. Izraelici utrzy-

mują się kosztem mieszczan i okolicznych włościan, bo cały handel jest w ich ręku. Chrześcianie zajmują się tylko rolnictwem i rzemiosłem. Izraelici nie solidaryzują się zupełnie z ludnością chrześciańską i przeważnie żyją z wyzysku, a zatem ze szkodą społeczeństwa!

Gazeta Radomska nr 35, 18 Kwietnia 1890

Z Połańca. Okolica nasza jest jakby oddzielona murem chińskim od reszty świata ucywilizowanego. Gdyby nie pisma peryodyczne, (których odbieramy: "Słowa" 1 egz., "Dziennika dla wszystkich" 1, "Gaz. Radomskiej" 2 egz., "Tygodnika mód" 1, "Biesiady" 1, "Gaz. Świątecznej" – 1 i "Przeglądu Kato."

1 egz.), byłyby straszliwe nudy. Lecz i te pisma każdy czyta solo, bo brak łącznika i solidarności z powodu, że i my tu mamy t.zw. arystokracyę małomiasteczkową. Ten nieszlachcic, ten ubogą ma rodzinę, ten zawysoko wykształcony - słowem, parafiańszczyzna, że aż pfe!

"Suchy marzec, mokry maj - będzie żyto jakby gaj!" Przysłowie może się i sprawdzi, gdyż cały marzec mieliśmy suchy a kwiecień ciepły i również suchy.

Ciepłota w domu dochodzi do 18 Reum., parno a deszczu jak nie ma, tak nie ma. Pomimo to drzewa ślicznie się rozwinęły, łąki zielone i pełne żółtego kwiecia, oziminy ładne, jarzyny zadawalające. Być może, że rolnik po tylu łatach nieurodzaju, odetchnie i byt swój poprawi. Osadę Połaniec a raczej cały rynek zamieszkuje Izrael. Oni to mają w swym ręku handel i na każdy towar nakładają dowolne ceny, do których kupujący stosować się musi z braku sklepu chrześciańskiego. W roku zeszłym spaliła się domów żydowskich większa połowa a jednak już prawie się odbudowali. W miejsce drewnianych stanęły domy murowane. Katolicy budują się bardzo powoli. Co się tycze sklepu chrześciańskiego, to istotnie w osadzie naszej utrzymałby się, popierany przez swoich. Należy o tem pomyśleć i nie dać się wyzyskiwać żydom.

M. P. (Maciej Piecek)

Dokumenty – Archiwum rodzinne R.M.

J. Anna Stefańska

POŁANIECCY KOŁODZIEJE

Wspomnienia Pana Stanisława Dalmaty zawarte w „Zeszytach Połanieckich" nr 17 pt. „Połanieckie kuźnie", a w szczególności ostatnie zdanie tych wspomnień, w którym Pan Stanisław namawia inne osoby do opisu tych rzemiosł, które w Połańcu nie istnieją, a wspomnienie których wzbogaci historię rzemiosł w Połańcu, skłoniły mnie do krótkiego opisu takiego właśnie rzemiosła. Jest nim mianowicie kołodziejstwo.

Jest to rzemiosło dość mi bliskie, ponieważ wykonywali go mężczyźni w mojej rodzinie, tj. mój dziadek Jan Stefański, wujek Władysław Stefański i mój tata Franciszek Stefański.

Dziadka nie pamiętam, zmarł w czasie II wojny światowej, wujek wyjechał z Połańca i zajmował się inną pracą. Z tego, co pamiętam, po wojnie jedynym kołodziejem w Połańcu i najbliższej okolicy był mój tata.

Praca kołodzieja, zwanego również stelmachem, polegała na wykonywaniu kół z głównymi ich częściami, t.j. piastami toczonymi na tokarce, dzwonami i szprychami oraz podwozi do wozów konnych. Ojciec robił nie tylko nowe wozy, ale również nowe skrzynie, deski (zwane lotrami), drabiny (do furmanek), dyszle i bardzo często naprawiał i dorabiał zużyte części do wozów. Wykonywał również drewniane narzędzia rolnicze.

Najwięcej pracy w warsztacie było latem przed żniwami i jesienią przed kopaniem kartofli. Doskonale pamiętam warsztat, w którym pracował tata. Była to dość duża drewniana szopa zbudowana z desek, w której oprócz urządzeń i narzędzi służących do pracy kołodzieja przechowywany był wóz konny należący do ojca, duże drewniane skrzynie na zboże, ospę dla bydła, waga do ważenia dużych ciężkich rzeczy i mała waga szalkowa, a na stryszku suszyły się deski i przechowywane były używane zimą sanie (skrzynie i płozy) oraz moje i brata sanki.

Główne miejsce w szopie zajmował warsztat, t.j. stojący przy oknie stół wyposażony w różnego rodzaju przyrządy służące do umocowania drewna przeznaczonego do wyrobu dzwonu lub szprych. Pamiętam, że jedno z tych urządzeń nazywano pieskiem. Innym urządzeniem był tzw. koziołek, który służył do umocowania i unieruchomienia koła w pozycji poziomej.

Ojciec posługiwał się również ławą kołodziejską, która służyła do nawiercania otworów szprychowych w dzwonach. Ważnym urządzeniem była tokarnia, na której toczone były piasty do kół. Była to stara tokarnia z warsztatu dziadka Jana, która uruchamiana była nie przy pomocy energii elektrycznej, ale rąk i nóg ojca (do 1953 r. w Połańcu nie było energii elektrycznej).

Franciszek Stefański z synem

Na półkach na ścianach szopy leżały heble zwane również strugami. Były one różnej długości i wielkości, jedne z dwoma rękojeściami, inne bez rękojeści. W innym miejscu na specjalnych uchwytach wisiały różnej wielkości i rodzaju świdry służące do wiercenia otworów w drewnie (np. w piaście). Ojciec posługiwał się również różnego rodzaju dłutami do dłubania otworów czworokątnych lub podłużnych do ich powiększania i zaokrąglania. Często obrabiał drewno toporem kołodziejskim. Charakterystyczne dla tego topora było to, że miał ostrze lekko wygięte do wewnętrznej strony.

Na ścianach szopy na hakach wisiały różnorodne piły o węższych lub szerszych ostrzach jak np. piły taśmowe naciągnięte na ramę za pomocą sznurka, piły o dwóch rękojeściach służące do poprzecznego przecinania pni drzewnych. Na stole (warsztacie), na półkach w niewielkich drewnianych skrzynkach i pudelkach metalowych leżały gwoździe o różnej wielkości, grubości, kształcie i oczywiście młoty i młotki (w tym również drewniane).

Ojciec posługiwał się również urządzeniami do znaczenia (znakowania) drewna. Były to: cyrkiel kołodziejski do wykreślania dzwonu, znacznik do linii prostych.

Drewno, które było obrabiane w warsztacie to głównie drewno z drzew liściastych (dąb, jesion, akacja, brzoza i wiąz). Używano go przede wszystkim do wyrobu podstawowych części wozu i kół. Natomiast do wyrobu tych części, które składały się na wyposażenie wozu, jak deski (lotry),drabiny, skrzynie itp. używano sośniny i innych drzew iglastych. Koła i inne części do wozów były okuwane przez miejscowych kowali, o których wspomniał Pan Dalmata.

Tata w warsztacie robił również sanie, taczki, grabie, drabiny do wchodzenia na wyżej położone miejsca, a z naszego domu pamiętam zrobione przez niego wieszaki, półki, stół kuchenny, stołki, skrzynie (w tym na chleb, mąkę), korytka oraz stolnicę, wałek do ciasta itp.

Z usług taty korzystali połanieccy rolnicy, jak i rolnicy z okolicznych miejscowości. Warsztat

dość dobrze prosperował do końca lat pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Później koła drewniane zostały wyparte przez koła gumowe. Ojciec zajął się wtedy inną pracą, a w warsztacie dorywczo trudnił się tylko naprawami i wykonywał przedmioty na własne potrzeby. Po śmierci taty (1983 r.), jak i obecnie w Połańcu nikt nie wykonuje tego rzemiosła.

Mam nadzieję, że po wspomnieniach Pana Stanisława Dalmaty (na temat kuźni i kowali połanieckich) i moich (o połanieckich kołodziejach), znajdą się następne osoby, które opiszą inne rzemiosła, o których można już tylko powspominać.

Marek Pedyński

OPOWIEŚCI WĘDKARSKIE

Zapach wiosennego szczupaka

Ludzie – jak powszechnie wiadomo – posiadają pięć zmysłów. Naukowo udowodniono, że u osobników, którym natura pożałowała któregoś z nich, pozostałe wykształcone są nad wyraz dobrze. Ze szczerym smutkiem muszę przyznać, że moja osoba stanowi znakomity argument na potwierdzenie tej tezy. Słuch (tzw. muzyczny) mam fatalny. Rozróżniam wprawdzie poszczególne dźwięki, ale gdy kiedyś podśpiewywałem sobie w mieszkaniu przy okazji jakiegoś zajęcia, to przybiegła zdesperowana sąsiadka-feministka, gdyż pomyślała, że się awanturuję i biję żonę. W zamian za tę niewątpliwą niedoskonałość obdarzony zostałem fenomenalnym wręcz węchem. Od kilku dni czuję wiosnę.

Przyszła ona w tym roku późno i bez fajerwerków. Jej woń, słaba z początku, dopiero teraz zaczyna wiercić w nosach wędkarzy, ciągnąc ich nad pobliską wodę. Ja jeszcze poczekam. Mam czas. Wędkarski nos mi mówi, że nie nadeszła pora tego, który pachnie najintensywniej – wiosennego szczupaka. Pamiętam jednak taki rok, gdy zębacz rozpachniał się na dobre z początkiem maja...

Świt. Słońce pełza poniżej drzew okalających płytką gliniankę. Zimne powietrze paruje, tworząc delikatną mgiełkę, unoszącą się z wolna do góry. Woda ciemna, ale przejrzysta. Dopiero w czerwcu zazielenieje i zapełni się rzęsą. Duży spławik podskakuje na powierzchni, by po chwili raptownie zniknąć. Sekunda, dwie i silne zacięcie. Wędka wygina się, żyłka tnie powierzchnię wody, wir, plusk i spory drapieżnik ląduje w koślawym podbieraku. „A nie mówiłem, że tu najlepiej na żywca!" – krzyczy do mnie uradowany łowca. „Jak maj, to tylko na płotkę!". „Zobaczymy" – odpowiadam nie bez zazdrości w głosie.

Cichutko podchodzę do brzegu i rzucam leciutką wahadłówką. Blacha jest genialna - można prowadzić ją bardzo wolno, a mimo to pracuje intensywnie, kusząc zgłodniałe szczupaki. Ku mojemu zdziwieniu, kolejne rzuty nie

przynoszą efektu. Może rzeczywiście lepiej na żywca? Zakładam srebrną wirówkę w czerwone paski; czy okaże się skuteczniejsza? Pierwszy rzut nieudany, przynęta ląduje na piaszczystym wypłyceniu. Nie spodziewam się brania ryby w tym miejscu, więc gwałtowny atak, poprzedzony podwodnym błyskiem, omal nie wyrywa mi wędziska z ręki. Szczupak szaleje w ciemnej toni i zbliża się niebezpiecznie do zanurzonych gałęzi zwalonej przez jesienną wichurę topoli. Zestaw mam zbyt delikatny na tak dużą rybę, wysłużona 25-ka nie gwarantuje bezpiecznego holu. Na szczęście zębacz słabnie – widać, że nie odzyskał jeszcze pełnego wigoru po niedawnych amorach. Problem zaczyna się przy brzegu; jak wyciągnąć kilkukilogramową sztukę bez podbieraka? W sukurs przychodzi cwaniaczkowaty gość z żywcówką, który przybiegł w miejsce walki, spostrzegłszy co się dzieje. Jego zdezolowany podbierak okazuje się wielce pomocny. Po chwili szczupaczysko leży bezradnie na wiosennej, tchnącej świeżością trawie.

84 centymetry. Jasnozielony, żółte cętki i wielkie zakrzywione zęby. Pachnie miętą, tymiankiem i jeszcze czymś, czego nie potrafię określić. Może to zapach wędkarskiej radości? Chwilkę się nim napawam, a potem zwracam wolność, ku ogromnemu zaskoczeniu przygodnego pomocnika. „Panie, taka piękna sztuka, nie żal jej wypuszczać?". „Pierwszego w sezonie zawsze wypuszczam – taką już mam zasadę" – myślę. A jemu odpowiadam krótko, że z ryb jadam tylko śledzie. Pewnie i tak by nie zrozumiał.

Słońce już wysoko. Wygrzewam się w jego promieniach i rozmyślam o tym, co mnie dziś spotkało. Ciekawe, czy szczupak otrząsnął się już z szoku po holu i czy czai się pod wodą na kolejną zdobycz? Może weźmie jeszcze raz w tym sezonie? Zapoluję na niego jesienią.

Na obrotówkę trafia się niekiedy niezły szczupak

Nieopodal, uporczywych wysiłków dokonu-

je wędkarz od żywca. Nie idzie mu – zmienia przynęty i miejsca, w końcu zrywa zestaw i odchodzi, bąknąwszy krótkie „do widzenia". Pewnie nadal zastanawia się, dlaczego wypuściłem rybę życia.

Gdy wracam do domu, brodząc po kostki w wodzie przez podmokłą łąkę, odczuwam autentyczną, niczym nie ograniczoną radość. Radość mojej wiosny pachnącej szczupakiem.

Podwodny portret esoxa

Rywale

Stał pochy lony na małym drewnianym mostku, mocno już zniszczonym przez czas i korniki. Wpatrywał się uporczywie w płynącą dołem rzeczkę. Majowe słońce miało się już ku zachodowi, cienie nadbrzeżnych wierzb stopniowo się wydłużały. Nagle drgnął i pochylił się jeszcze bardziej. Był zaskoczony tym co ujrzał. Jeden z leżących na dnie konarów poruszył się nieznacznie, by po chwili wystrzelić niczym z procy i schwytać przepływającego obok karasia. Człowiek pokręcił z niedowierzaniem głową i wycofał się cichutko.

Gdy dotarł do domu było już zupełnie ciemno. Zapalił małą lampkę w swoim pokoju i wysypał na podłogę zawartość stojącego w rogu plecaka. Segregował przynęty. Zawsze tak robił przed planowaną wyprawą. Zabierał tylko te, które uznał za przydatne w nadchodzących łowach. Zasypiając, myślał o wypatrzonym szczupaku. Czy nadal będzie czatował koło filara spróchniałego mostu? Czy nie zignoruje podawanych błystek? Czy uda się go oszukać w przejrzystej wodzie? Przez całą noc śnił o nadchodzącej przygodzie. Rzucał się po zmiętej pościeli, holując oniryczne okazy. Obudził się jak zwykle, tuż przed alarmem z nastawionego zegarka. Po godzinie maszerował w kierunku

wyłaniających się z porannych mgieł drzew, które porastały brzegi meandrującej wśród łąk rzeki. Gdy dotarł nad wodę, kucnął obok pochylonej wierzby, kilka metrów powyżej miejsca wczorajszych obserwacji. Jedząc kanapkę lustrował otoczenie. Od wieczora niewiele się zmieniło. Tylko skrawek wstającego słońca umiejscowiony był po przeciwległej stronie. Dzika kaczka z wynurzyła się z chaszczy przy drugim brzegu i nie robiąc sobie nic z obecności wędkarza, płynęła dostojnie ze słabym w tym miejscu prądem. Gdzieś w oddali nawoływały się gotowe do godów bażanty. Rozłożył dwuczęściowy, lekki ale solidny spinning. Do końca żyłki uwiązał wolframowy przypon. Nie chciał ryzykować utraty ryby. Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że majowe szczupaki połykają przynęty łapczywie, głęboko. Pierwszy rzut wykonał wysłużonym, mosiężnym „Morsem". Prowadził błysk umiejętnie, robiąc krótkie przerwy w jego ściąganiu, tak aby kawałek metalu imitował chorą, osłabioną rybę. Przez cały czas był skoncentrowany, gotowy do zacięcia po upragnionym targnięciu wędziskiem. Zamarł, widząc refleksy świetlne, które przynęta wydawała w wybrzuszeniu wody omywającej filar. Czuł, że za sekundę nastąpi gwałtowny atak zębacza. Wahadłówka dotarła bezkarnie do brzegu. Tak samo po drugim i trzecim rzucie. Zmienił przynętę. Srebrna wirówka w czerwone paski rzadko go zawodziła. Zaraz po opadnięciu blaszki na wodę poczuł szarpnięcie. Po chwili u jego nóg wylądował spory, silnie wygrzbiecony okoń. Zawiedziony łowca uwolnił pasiastego drapieżnika. Przecież nie on był celem polowania. Po kilku bezowocnych rzutach ponownie sięgnął do wędkarskiej torby. Mała, gumowa żabka już nie raz chroniła go od bezrybia. Prowadził ją po powierzchni, pozwalając spłynąć czasem metr, dwa w dół rzeki. Skuszony szczupak uderza w nią niezwykle widowiskowo, efektownie rozbryzgując wodę. Tym razem nic takiego nie nastąpiło.

Szczupaki lubią czaić się na swe ofiary wśród podwodnej roślinności

Gdyby ktoś niepostrzeżenie podkradł się pod okno chaty położonej dwa kilometry powyżej miejsca wysiłków doświadczonego wędkarza,

mógłby usłyszeć słowa mężczyzny, opowiadającego chłopcu o nocnych łowach. Mógłby dowiedzieć się, jak cętkowany drapieżnik nieruchomieje w świetle skierowanego nań reflektora i jak łatwo go wtedy trafić trójramiennym ościeniem. Gdyby zajrzał przez brudną szybę do środka, ujrzałby dziecko z wypiekami na twarzy, jego dumnego opiekuna i widniejące na stole cielsko dużej ryby.

Wędkarskie dylematy

Pamiętam, że było wtedy lato, a mgła, opadająca w postaci lekkiej mżawki, chłodziła rozgrzane długim marszem policzki. Kucałem ukryty w przybrzeżnym gąszczu wikliny i wpatrywałem się uparcie w szczytówkę lekkiej gruntówki, zaklinając myślami przyszłą zdobycz. Byłem niemal pewien, że za chwilę stanie się coś niezwykłego…

Wtem zestaw, przygotowany z myślą o połowie okoni, zatrząsł się gwałtownie, a żyłka, obciążona niewielką oliwką, pomknęła ostro w prawą stronę. Drżącymi z emocji rękoma chwyciłem wędkę i ostro zaciąłem. Pulsujący ciężar, który poczułem, wprawił mnie w stan euforii. Ryba szalała w niewielkiej rzeczce, a ja przeżywałem jedną z najpiękniejszych chwil w moim krótkim, bo dopiero kilkunastoletnim życiu. Spodziewałem się grubego pasiaka, gdyż to one zwykle atakowały podawane przynęty. Jednak – po podprowadzeniu ryby pod brzeg – przekonałem się, że tym razem mam szansę schwytać szczupaka. Pierwszego w życiu! Gdy go ujrzałem, natychmiast rzuciłem się w kierunku zdobyczy i po chwili na brzegu miałem upragnionego esoxa. Mokry, rozdygotany, ale niezmiernie szczęśliwy podziwiałem zdobycz.

Kiedy ochłonąłem nieco z emocji, zaczęły się problemy. Szczupak-gigant nagle zmalał – wędkarska miara pokazywała zaledwie 38 cm. Ryba okazała się więc niewymiarowa, należało ją wypuścić. „Ale jak to – zrezygnować z pierwszego w życiu szczupaka?" – pomyślałem ze smutkiem. Po minucie wahania zdecydowałem się złamać prawo i zatrzymać rybę. Ogłuszyłem ją i schowałem do harcerskiego plecaka.
Wyrzuty sumienia, które dręczyły mnie w drodze powrotnej, zniknęły, gdy usłyszałem pochwały od domowników. Wreszcie mogłem się poczuć, jak wędkarz z krwi i kości – miałem na rozkładzie pierwszego szczupaka, i to „prawie wymiarowego". Spreparowałem nawet łeb zdobyczy i chwaliłem się nim kolegom po kiju. Gdy dostrzegałem iskierki zazdrości w ich oczach, byłem naprawdę szczęśliwy.

Później, przez szereg lat, wielokrotnie łowiłem szczupaki i inne ryby, ale już nigdy nie zdarzyło mi się zabrać do domu niewymiarowej zdobyczy. Zawsze kiedy korciło mnie, żeby to zrobić, przypominał mi się ten pierwszy esox. I nie wiem czemu, ale wspomnienie o nim powstrzymywało mnie od uśmiercania krótkich ryb. Być może dlatego, że zaspokoiłem swoje atawistyczne ambicje – ale tego nie jestem do końca pewien.

Kiedy przyszła moda na wędkarstwo oparte na zasadzie „złów i wypuść", nie miałem wielkich problemów, by się do niej dostosować. Złowione ryby wracały zwykle do wody, dzieje się tak zresztą do dzisiaj. Jednak nigdy nie stałem się fanatykiem potępiającym wszystkich, którzy nie postępują zgodnie z powyższą zasadą. Lekcja ze szczupakiem nauczyła mnie, że niekiedy trudno zrezygnować ze zdobyczy. Gdybym dziś – w dobie aparatów cyfrowych – złowił rekordowego zębacza, nie wiem, jak bym postąpił. Przecież wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i w każdym z nas drzemie potrzeba rywalizacji, chęć zaimponowania kolegom i inne „niskie" pobudki.

Sądzę zatem, że wędkarstwa, tak jak każdej sztuki, trzeba się uczyć. Ta nauka trwa przez całe życie i prowadzić winna nie tylko do wyrugowania instynktu zabijania, ale także do wykształtowania w sobie tolerancji niezbędnej do współistnienia z wędkarzami, którzy mają inną niż my wizję realizacji swojej pasji. Przede wszystkim jednak powinniśmy nauczyć się miłości do przyrody – jeśli zdołamy to zrobić, to nasze rzeki nie zmienią się w płynące pustynie, a ryb wystarczy dla każdego.

Spis treści

Szanowni Czytelnicy!. 3
Marek Pedyński
JAK WZNIEŚĆ POMNIK W PÓŁ ROKU,
CZYLI O „CUDZIE" W STALOWEJ WOLI 4
Zdzisław Owczarek
MÓJ POŁANIEC 7
Paulina Płachta
PRZEWODNIK GENEALOGA DYLETANTA. 17
Grażyna Wiącek
WINNICKA WISŁA. 21
Józef Korczak „Gerwazy"
AKCJE PARTYZANCKIE NA KOLONIE NIEMIECKIE W PRZECZOWIE I CZERMINIE I REFLEKSJE NAD TYM TEMATEM. 28
Józef Korczak „Gerwazy"
ŚMIERĆ KSIĘŻY BRACI: STEFANA I KAZIMIERZA GRELEWSKICH ORAZ BRACI: EUGENIUSZA I EDMUNDA JARZYNÓW Z RĄK OPRAWCÓW NIEMIECKICH. 39
Radosław Matusiewicz
ZNALEZIONE W ARCHIWACH BIBLIOTEKI RADOMSKIEJ. 46
J. Anna Stefańska
POŁANIECCY KOŁODZIEJE. 55
Marek Pedyński
OPOWIEŚCI WĘDKARSKIE. 57

Zeszyty Połanieckie
Zeszyt opracował: Marek Pedyński
Zespół redakcyjny: Marek Pedyński (red. naczelny), Radosław Matusiewicz,
Osoby współpracujące z redakcją: Grażyna Gad (Połaniec), Paulina Płachta (Kraków), Mieczysław Korczak (Tarnów), Józef Korczak (Połaniec), Mieczysław Machulak (Połaniec), Walerian Warchałowski (Łowicz).
Korekta: Grażyna Cichoń

Skład, redakcja techniczna:
Andrzej Skibicki

Oficyna Wydawnicza APLA,
38-400 Krosno, ul. Kościuszki 49, tel. 013 43 660 49
www.apla.otwarte24.pl

Zdjęcia: Archiwum Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu, Maria Bielec, Dawid Glica, Zbigniew Guła, Norbert Jakubczyk, Robert Łodkowski, Artur Komorowski, Grzegorz Marzec, Mieczysław Machulak, Radosław Matusiewicz.
Adres Redakcji: 28-230 Połaniec, ul. Ruszczańska 27, Rejestr sądowy: Sąd Okręgowy w Kielcach INS-rej. Pr103/01
PL ISSN 1643-370X, NIP 866-15-42-222 REGON 830356533
BS Połaniec 45 9425 0008 0000 1326 2004 0002

© Copyright by Towarzystwo Kościuszkowskie w Połańcu
Konto: BS Połaniec 94250008-1326-27006-04
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych materiałów. Tekstów niezamówionych nie zwracamy.

W tym numerze Zeszytów Połanieckich prezentujemy zdjęcia, na których przedstawione są budynki szkolne w dawnym Połańcu oraz uczniów i nauczycieli. Zdjęcia udało mi się zebrać dzięki uprzejmości Połańczan: Mieczysława Tarnowskiego, Mieczysława Korczaka, Zofii Kurgan, Agnieszki Chyli, Urszuli Jungiewicz, Walentyny Łowicka, Natalii Bobrowskiej, Anieli Jarzyny, Janiny Switek, Mieczysława Brzdękiewicza, Stanisława Machnickiego, Anny Stefańskiej, Eufrozyny Głogowskiej, Iwony Jarzyny i Wiesławy Matusiewicz.
Wielu z tych osób nie ma już wśród nas.

Szkoła na ul. Staszowskiej po wojnie
(*wł. A.Chyla*)

Widok z wieży kościoła na szkołę
na ul. Staszowskiej (*wł. M.Korczak*)

Cheder na ul. Mieleckiej, gdzie mieściła się szkoła
żydowska, a po wojnie polska
(*arch. R. Matusiewicz*)

Szkoła podczas wojny adaptowana
na Szpital Zakaźny (*wł. M. Korczak*)

Szkoła na ul. Staszowskiej przed wojną
(*wł. M. Tarnowski*)

Budynek Gminy, w którym mieściła się sala szkolna
(*wł. M.T arnowski*)

Pan Pendrys z klasą (*wł.? Arch. R. Matusiewicz*)

Uczniowie ze szkoły w Okrągłej (*wł. Z. Kurgan*)

Siedzą od lewej: Zbigniew Jańczuk, Kazimiera Rzepecka, Michał Jańczuk (*wł.? Arch. R. Matusiewicz*)

Uczniowie ze szkoły w Okrągłej (*wł. Z. Kurgan*)

Uczniowie ze szkoły w Okrągłej (*wł. Z. Kurgan*)

U góry 5-ty od lewej Kazimierz Warchałowski późniejszy historyk i regionalista połaniecki (*wł. W. Matusiewicz*)

Wycieczka do Wieliczki (*wł. R. Matusiewicz*)

Szkoła na ul. Ruszczańskiej
(*wł.?, arch.R. Matusiewicz*)

Szkoła Zawodowa na ul. Ruszczańskiej
(*wł. U. Jungiewicz*)

Uczniowie przy Kościele, Nauczyciele: Jagiełkówna, ks. Król, M. Jańczuk, stoi Jadwiga Korfanty (*wł.? Arch.RM*)

Klasa szkolna lata 30-te, Nauczyciele: M.Jańczuk, Nawrocki (*wł. S.Machnicki*)

Klasa szkolna w latach 30-tych
(*wł. N.Bobrowska*)

Świetlica na ul. 11-go listopada
(*wł. M.Tarnowsk*i)

Klasa szkolna ok. 1930 r. (*wł. W. Łowicka*)

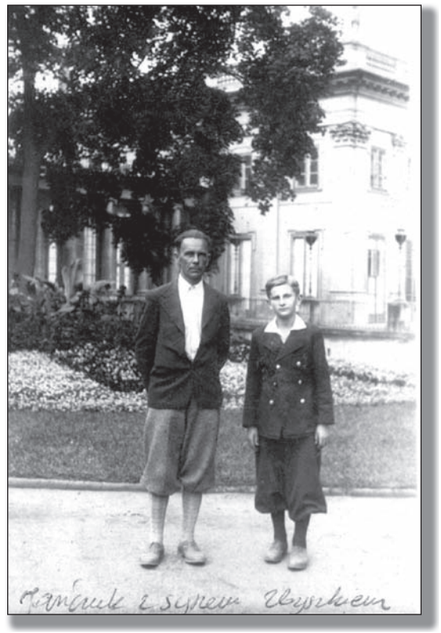

Kierownik szkoły Michał Jańczuk
z synem Zbigniewem (*wł. I. Jarzyna*)

Klasa szkolna przed kościołem
(*wł. A. Stefańska*)

Klasa za szkołą na ul. Ruszczańskiej,
Nauczyciele: M. Jańczuk, J. Bień
(*wł. N. Bobrowska*)

Szkoła Zawodowa na ul. Ruszczańskiej
(*wł.?, arch. R. Matusiewicz*)

Klasa szkolna lata 30-te (*wł. N. Bobrowska*)

Klasa szkolna rok 1936. Nauczyciele od lewej: Ks. Bełchowski, J.Bień, Frączkówna, Nawrocki, Wicińska (zd. Pendrys), M.Jańczuk, Litwińska, Antoni Punzet, Andryszynówna (Bień), Jadwiga Jagiełkówna
(*wł. A. Jarzyna*)

Szkoła w Okrągłej (*wł. Z. Kurgan*)

Klasa szkolna lata 30-te (*wł. Janina Switek*)

Klasa szkolna 50/60 pani Krystyny Kobos – Kasińskiej (*wł. M. Brzdękiewicz*)

Wycieczka szkolna do Gdyni, 1939 r.
(*wł. A.Jarzyna*)

Przedstawienie „Fartuszek Marysi”
5.VI.1934 (*wł. E. Głogowska*)

Otwarcie Szkoły Zawodowej przy ul. Ruszczańskiej (*wł.?, arch R. Matusiewicz*)

Most w Rybitwach nad Kanałem Orzeleckim

Rzeka Wschodnia w okolicach Połańca

fotografie
Artura
Komorowskiego

Malownicza przyroda w okolicach Połańca fot: Dawid Glica